WACŁAW SIEROSZEWSKI

Być Albo Nie Być



DRUKIEM DZIENNIKA LUDOWEGO
160
959 Milwaukee Ave. — Chicago, Illinois

ok. 1910

WACŁAW SIEROSZEWSKI

BYĆ ALBO NIE BYĆ



DRUKIEM DZIENNIKA LUDOWEGO
959 Milwaukee Ave. — Chicago, Illinois

POLSKA ... SPÓŁKA WYD... ...

Dla każdego robotnika polskiego drogim i bliskim jest Sieroszewski, ta postać niezwykła, streszczająca w sobie wszystkie najlepsze strony współczesnego polskiego życia. W Wacławie Sieroszewskim złączyła się najlepsza tradycja powstańcza, kultura polskiego inteligientnego dworu, ze światem pracy, z proletarjackim rozpędem ku nowym formom życia, ku zdrowemu i potężnemu światu, "gdzie nowy zapanuje ład" — na miejsce współczesnej anarchji. Cechuje Sieroszewskiego przedewszystkim rzadko spotykany a bezcenny ścisły związek pomiędzy myślą i czynem. Nigdy nie marzy bezpłodnie ten nieodrodny syn naszej epoki. — Wszelkie uczucie, wszelka myśl wciela się u niego w życie praktyczne. Młody, zaledwie osiemnastoletni ślusarz, z chwilą gdy się dusza jego otworzyła jak kwiat przed wschodzącym słońcem socjalizmu, nie czeka ani chwili, nie chowa w samotni swego ducha zdobytych skarbów myśli, lecz dzieli się wnet z tymi, dla których przyszłość była pełna mroków rozpaczy. Niesie jako jeden z pierwszych

agitatorów myśl rewolucyjną pomiędzy warszawskich robotników.. — Dostrzega go wnet czujne oko przemocy: chwyta go ciężka i brutalna łapa najezdcy moskiewskiego. Rzucony w tajgi jakuckie nie traci ducha walki. Dojrzewa w strasznym pustkowiu północnym jego dusza. I gdy po kilkunastu latach wygnania wraca do nas, gdy zaczyna żyć normalnym życiem, gdy koło rodzinnego ogniska zbiera swą uroczą gromadkę najbliższych, nie ulega jednak, jak tylu innych zrobiło, paraliżującemu wpływowi uczuć rodzinnych. Z chwilą zerwania się burzy 1905 roku, staje znów w szeregach proletarjatu walczącego. — Znów po porażce je chleb wygnania. Z pod pióra jego wychodzą jedne po drugich prace, budzące męską dzielność, krzepiące i podnoszące omdlałych w walce z przemocą. A gdy obecnie, wśród strasznej pożogi wojny niebywałej, znaczna część narodu wyczerpana i zdemoralizowana klęskami ciągłymi, bezczynnie przygląda się dziejowemu przełomowi, Sieroszewski, choć już bliski sześćdziesięcioletniego okresu, gdy każdy pracownik spocząć już powinien, lecz młodszy duchem od wielu najmłodszych wiekiem, staje w szeregach legiendarnego już oddziału konnych strzelców Beliny.

Nie mamy w historji naszej literatury większego nadeń wychowawcy. Nie ciąży na nim zarzut, pod którego brzemieniem na zawsze spocznie pamięć trzech naszych największych poetów, że słów z czynami nie łączył, że gorących a namiętnych i pełnych wezwań bojowych haseł głoszonych w czyn powstańczy nie wcielił. — Ukochał nadewszystko życie. Wrogiem jest zwątpienia i rozpa-

czy. W obrzydzeniu ma bezczynność miękką, bezmęskość, strojącą się w szaty przewidującej mądrości. Nie jest jednym z tych "cichych" — którzy według zapowiedzi schyłkowca żydowskiego, Chrystusa, "mają posiąść ziemię" w nagrodę za to, że cesarzowi co cesarskie oddają".

Uczy nas, że nawet w więzieniu, wobec grożących dwudziestu lat męki samotnej, należy "zachować na samym dnie duszy, w granitowym sarkofagu serca własne ziarnko. Zamknąć w twardej i niezmożonej bryle woli ciepłą skrę dla przyszłych pożarów".

W straszliwych dziejach Zaremby, fantastycznych dla wolnych narodów i całkiem dla nich niewiarogodnych, a codziennych i jedynie prawdziwych dla polskiej duszy, uczy nas, że nie w bezczynności lecz "w walce leży zdolność przeczekania i wytrwania."

......Wśród atmosfery rozpaczy i jęków zniszczonej przez obce armje ojczyzny, spalonych miast i wsi, zdeptanych zasiewów, gwałconych kobiet i małoletnich dziewczynek przez żołdaków moskiewskich, powieść Sieroszewskiego będzie wzmacniającym napojem dla przerażonych i zwątpiałych.

I.

— Imię?

— Edward...

— Nazwisko?

— Zaremba...

— Lat?

— Dwadzieścia pięć...

Po każdej odpowiedzi dyrektor więzienia zaglądał do papierów i sprawdzał.

— Rozbierz się!... — zakończył surowo.

Więzień nie ruszył się, tylko drgnęły mu i pobladły wilgotne, młode wargi, tylko zadrżały długie rzęsy opuszczonych powiek.

Dyrektor spojrzał nań zezem i zrobił nieznaczny ruch głową dwom stojącym u drzwi dozorcom.

— Rozbieraj się! — powtórzył jeden z nich, biorąc za łokieć młodzieńca.

— No, dalej!... — dodał drugi, popychając go zlekka ku ścianie.

A gdy więzień trwał dalej w pozornej obojętności, zaczęli brutalnie rwać na nim odzież, rozpinać mu kamizelkę, spodnie, zdzierać je na dół. Chwytali go za rękawy i rozkrzyżowywali w po-

wietrzu ręce; z tłumioną nienawiścią i odrazą schylali mu się do kolan. Więzień dyszał coraz gwałtowniej. Gdy zaczęli szarpać na nim bieliznę, zrobił słaby, odpychający ruch i szepnął głucho:

— Puśćcie... ja... sam...

Lecz już go nie puścili, choć latającymi rękami rozpinał śpiesznie guziki i sam się obnażał. Przeciwnie, ich twarde, ciemne palce z brudnymi pazurami, nurzały się teraz z widoczną rozkoszą w jego różowym ciele, znacząc wszędzie czerwone, brzydkie ślady. Po dotkniętych mięśniach przepływały wstydliwe, bolesne drżenia, niby fala po wodzie wstrząsanej od dna. Wreszcie stanął, zupełnie nagi, w szarym świetle okna, świeży, drgający, piękniejszy w swym wzburzeniu i różowej łunie krwi od białych greckich posągów. Jasna, chrystusowa broda spływała mu na wznoszące się wysoko piersi, dokoła rozgorzałej twarzy wiły się kasztanowate włosy niby lwia grzywa. Szafirowe oczy płonęły, jak dwa ciemne, połyskliwe karbunkuły. Wyprostował się i spojrzał wyzywająco na dyrektora więzienia.

Sucha, ostra, ziemista twarz tego nie zmieniła się ani na jotę, drewniana, stożkowata głowa na włos nie poruszyła się w zielonym, szytym złotem kołnierzu.

— Pod miarę!... — mruknął w przestrzeń.

Dwie pary dłoni, szorstkich, jak podeszwy butów, ujęły młodzieńca za gołe ramiona i pchnęły w kąt. Grubjańsko chwytając za żebra i lędźwia, przycisnęły go, wyciągnęły wzdłuż słupka, po którym spadła mu na głowę z szelestem gilotyny drewniana kantówka.

— Siedemdziesiąt pięć!...

Dyrektor znów sprawdził w papierach.

— Zrewidować!... — rzucił, wstając i przykrywając dłonią ziewnięcie.

Wywlekli więźnia na światło pod okno, zajrzeli mu do ust, do nosa, dłubali zapałką w zepsutym zębie... Palce ich, niby bezwstydne węże, wdzierały się we wszystkie składeczki, w pazuchy, w zagłębienia, w najtajniejsze otwory jego ciała... Wydało mu się, że nie odzież, lecz samą skórę i żywe mięso zrywają mu z kości, że, niby u szpitalnego trupa lub nieszczęsnej ladacznicy, wywrócono mu na wierzch, wynicowano na słońce najbardziej sromne wnętrzności.

Zgasły mu płomienie w oczach i na obliczu. Pierś już nie wznosiła się burzliwie, lecz trzęsła, drobnym ruchem żałosnym, jak trzęsą się liście jesienne w dżdżysty, posępny dzień... Ramiona zwisły, policzki zapadły i zmartwiały... Nie patrzał na nikogo... Utkwione w ziemię oczy nie widziały nawet desek podłogi...

Na rozkaz "ubierz się!" już sam schylił się pokornie, jak po łaskę, do kupy zgrzebnej bielizny, do szarych ohydnych szmat samodziału i począł wdziewać je pośpiesznie.

Dyrektor uśmiechnął się niepostrzeżnie a ironicznie. Młodzieniec, ubrany w małpio - kuse, szarożółte spodenki, w taką nieludzko brzydką kurtkę, w rozmamranej na piersiach, za ciasnej koszuli, w ciżmach płaskich, jak gęsie łapy, ciężkich i cuchnących, jak stare homonto, czuł się śmiesznym, odpychającym, niezgrabnym. Lękliwie czekał, co z nim jeszcze zrobią...

— Ogolić i zakuć!... Dziesięć funtów...

Wyprowadzono go na korytarz, gdzie już czekał balwierz, taki sam, jak on, żółto - szaro - małpi aresztant. Plugawym ruchem bitego psa, wtulając pół - ogoloną głowę między wzniesione ramiona, więzienny Figaro ukłonił się łaszcząco otwartym drzwiom kacelarji, w głębi której widniała zielona plama munduru naczelnikowego. Ręką wskazał Zarembie brudny, stojący w pośrodku stołek i, ślizgnawszy się wywiadowczym wzrokiem po zmienionej twarzy przybysza, uśmiechnął się wilczo.

Młodzieniec postąpił kilka kroków, jak we śnie, i siadł niezgrabnie na stolku z brzydko rozkraczonymi nogami. Balwierz rzucił mu cuchnącą ścierkę na plecy, obetkał ją wprawnym ruchem pod szyją. Zimne, plugawe nożyce zakłamsały dokoła głowy i drgających policzków młodzieńca... Miał wrażenie, że jest w letargu i że kły pożeraczy trupów — szakali czy hjen — ogryzają go z resztek ludzkiego kształtu... Nie mógł wstrzymać mimowolnych ruchów głową, co wywoływało u balwierza znaczące przytrzymywanie w powietrzu rozdziawionych ostrzy i migotliwe, niespokojne spojrzenia w stronę dozorców.

Zaremba też mimowolnie w tamtą stronę spozierał, gdzie wzdłuż tucznych, obleczonych w szare mundury ciał, zwisały czerwone łapy ze sprośnymi, brudnymi palcami. Ściskał zęby i zamierał znowu na chwilę bez ruchu. Na kolana padały mu raz po raz kasztanowate loki, kawałki miękkiej, jak jedwab, nigdy nie strzyżonej brody... Wreszcie nożyce szczęknęły mu pod nosem i od jednego zama-

chu obcięły wąs... Poczuł z rozpacza pod powiekami zdradzieckie, małoduszne, palące łzy...

— Nie! Nigdy!...

Znowu otworzył szeroko i dumnie błyszczące oczy. W tej chwili struga cuchnących mydlin polała mu się z czaszki na czoło i twarz.

Zmrużył powieki. Co za szczęście!?... Nic nie spostrzegą!... Mógł pozwolić swobodnie płynąć łzom, gdyż nikły bez śladu w potokach tych pomyj!...

Gdy mu potym łańcuchy nakładano na nogi, gdy na wielkim kowadle zakuwano ich obręcz u stóp wielkimi nitami, zaklepywano je z łoskotem, zda się na wieczne czasy, już nie czuł wzruszenia, jeno słabość niezmierną, jeno tępy ból zgwałconej kobiety, obojętnej już na wszystko i pragnącej jedynie za wszelką cenę rychłej samotności. Paść na piersi, przytulić twarz do wszechogarniającej ziemi!...

Dozorcy kazali mu unieść łańcuch w połowie rękami i powiedli go przez dziedziniec, mimo murowanego, wielkiego gmachu z oknami zakratowanymi. Na kamiennych stopniach wejścia, u wielkiego dzwonu pod daszkiem, stał tam takisam, jak oni, wartownik.

Padał deszcz. Z szarego nieba leciała rozpylona na mgłę woda. Z wysokich okapów spadały z żałobnym szmerem niezliczone szeregi brudnych łez.

Z rynien tryskały na bruki pieniste potoki.

Zakuty Zaremba stąpał za szeroko, hałaśliwie dzwonił, uderzał okową o okowę i czuł, jak one wpijają mu się ostrymi brzegami w nagie stopy,

jak rwą ciało, chciwie piją krew... Pośliznął się, zachwiał, broczył już krwią, ale skoro zatrzymał się, aby poprawić kajdany, dozorcy krzyknęli nań pogardliwie:

— Czego tam!?... Ruszaj dalej!... Co za czułości!... Tu nie balet!...

Za węgłem wielkiego budynku, naprzeciw ślepej jego ściany, stał pod kątem długi dom parterowy z niewielkimi, jakby ku górze wzniesionymi oknami. Dalej, oraz z boku wznosił się wysoki tynkowany mur. W tym kącie było tak samotnie, iż wydawał się on więźniem więzienia. Do budynku prowadziło kilka stopni kamiennych, nakrytych przyzwoicie blaszanym ganeczkiem. Dozorcy wprowadzili na nie Zarembę i zastukali do mocnych drzwi, okutych grubymi sztabami.

II.

Długi, bielony wapnem korytarz. — Przez wielkie okna jednej ze ścian wpadają słupy bladego światła, bez cieni i barw. Brutalnie odrzynają się na nich czarne krzyże grubych krat. Szyby ślepe, karbowane, pozbawione widoku, zieją martwotą i chłodem zimnych tafli lodowych. Po drugiej stronie korytarza rząd drzwi czarnych, zamczystych, a w końcu korytarza mała, tajemnicza, mocno zawarta furteczka. Zastałe powierze przesyca przykry odór szpitala i koszar. Czuć wszędzie ludzi, a jednak nic nie słychać w grobowej niemal ciszy...

Zaremba mimowoli podciągnął wyżej dźwigane łańcuchy i stąpał nieśmiało wśród idących na palcach dozorców. Ale trwało to krótko. Wyczulony w więzieniach słuch jego uchwycił za niektórymi drzwiami jakby słabe echo, jakby stalowy oddźwięk łoskotu jego własnych kajdan... Serce w nim drgnęło i zatrzepotało się... Miał ochotę zatrzymać się i krzyknąć:

— Witajcie, bracia! Otom przyszedł dzielić z wami katuszę!...

Walczył z potęgą dławiącej ciszy, z nieśmia-

łością niezwykłego zamiaru, z obawą niewiadomej obelgi. Zwolnił kroku...

— Ruszaj!... Spiesz się! .. — szeptali, popychając go, dozorcy.

Wtedy puścił okowy i nie zważając na palący ból przetartych ran, powlókł je z piekielnym szczękiem za sobą. Zdumieni dozorcy stanęli.

— Cicho!... Podnieść!... Trzymaj!...

A gdy nie ruszał się, jeden z nich schylił się i grubjansko poderwał łańcuchy...

— Poczekaj, ścierwo!... Popamiętasz!! Daleko jeszcze?...

— Tutaj! pięćdziesiąty szósty...

Drzwi celi stały otworem. Zanim Zaremba zdążył się opamiętać, gwałtownie potrącony, znalazł się za progiem i czarne wieko się za nim zawarło.

Długa, jak trumna, jak trumna wąska i jak trumna czarno malowana od podłogi do połowy ludzkiego wzrostu. Wyżej wznosiły się sino - szare ściany, a między nimi tkwił sino - szary monolit mogilnego powietrza. W górze małe, ślepe okienko, mocno zakratowane, ze ściętym ukośnie podokniem.

W dole błyszcząca, czarna, asfaltowa posadzka. U ściany żelazna klapa — stół, a obok, poniżej żelazna klapa — stołek. Dalej ku oknu pod tąsamą ścianą żelazna prycza — łóżko, też klapa podniesiona i zamknięta na klucz. U przeciwnej ściany w rogu koło drzwi, pod kranem wodociągu czarna koncha umywalni z grubego, wewnątrz biało polerowanego surowca. A w samym rogu na podłodze blaszane wiadro z pokrywą...

Nic więcej!

Obejrzał wszystko jednym rzutem oka.

Aha! Na ścianie nad łożem, na zakurzonej brudnej tekturze więzienne prawidła...

Podszedł i zaczął czytać. Długa litanja rzeczy wzbronionych...

Wzburzenie ucichło. Przykra słabość szła od kolan po mięśniach i stawach. Puszczone po raz wtóry kajdany z brzękiem upadły na podłogę. Ciągnąc je za sobą, postąpił kroków kilka ku stołkowi. Jednocześnie trzasnęła we drzwiach zasuwka "judasza" i w otworze zaszkliło się oko.

Patrzał chwilę w to oko i myślał.

— Tak będzie... Nie, nie!... Nie trzeba... Nie teraz... Mam czas!... Trzeba się zagospodarować!..

Usiadł. Stara rana na nodze dolegała mu srodze. Krawędź żelaznego pierścienia wżarła się głeboko w ciało. Uniósł stopę, zdjął ciżmy i odkręcił kran. Przyjemnie zaszemrała struga płynącej wody w ciszy tego grobu. Chwytał ją w blaszany kubek i ostrożnie polewał zranioną nogę nad otwartym wiadrem. Wtym znowu trzasnął zdradziecki "judasz", a potym z cichym ziewnięciem otwarła się poniżej drewniana klapa okienka.

— Nie wolno wody bez potrzeby wypuszczać! Proszę się zachować spokojnie!

Wskazał w milczeniu na swą zranioną nogę.

— Myć wolno się tylko zrana!

Blado - zielone oczy patrzały nań z tymsamym spokojem, co ślepe błony więziennych szyb; białawo - żółte kolące wąsy ruszały się, jak żądła. Chciał odpowiedzieć, spytać, lecz klapa już się pod

niosła i zacięła, jak dziwaczna paszczęka rozgniewanego kraba.

Rozważał, czymby jeszcze czas zapełnić.

— Nareszcie... muszą mi przecież dać jeść!

Przypomniał sobie, że dziś jeszcze nie miał nic w ustach i głód zaczął mu drążyć osłabłe i wyczerpane ciało.

— Choćby położyć się i wyciągnąć na chwilkę!...

Podszedł do pryczy i uważnie obejrzał zamki, zawiasy i żelazną ramę z naciągniętym pośrodku płóciennym wyrkiem

Prawidła wyraźnie oznaczały godziny otwierania i zamykania łóżka Na nicby się nie zdało prosić. Zresztą prosić nie chciał. Usiadł przy stole, oparł głowę i próbował drzemać. I sen nagły, trwożny spadł nań niespodzianie, jak jastrząb.

...Ach, nic!... Nic było nic! On śni. Wszystko jest dziwacznym, niepojętym, bolesnym marzeniem... Za chwilę zbudzi się i wyjdzie na ludny, słoneczny, stubarwny świat... Wmiesza się do spraw ludzkich i do ludzkich wplecie uczuć... Pójdzie gwarzyć z przyjaciółmi, igrać z dziećmi, z pod oka przyglądać się z tajoną obawą i zachwytem kobietom... Jakże piękny i rozmaity jest świat, jak mało go poznał?! To był sen... brzydki, potworny sen!..

Zbudził się, jakby trącony przez kogoś, i utkwił przerażone oczy w szare płetwy i macki okalających go ścian... Zewsząd zwisały nad nim, niby przejrzysto - galaretowate ciało nienasyconej mątwicy

— Dwadzieścia lat... dwadzieścia lat! — załkała w nim świadomość.

Cicho spełznał na zimną podłogę i wyciągnął się na niej twarzą na dół, podłożywszy pod ogoloną głowę cienką, aresztancką czapczynę.

— A to co nowego? Wstawaj! Nie wolno! — krzyknął nań niezadługo przez okienko dozorca.

Zaremba nie ruszał się.

— Słyszałeś!? Zaraz wstawaj, a nie, to powiem dyrektorowi!... My tu mamy na takich sposoby! Tylko przybył, już... nieporządki!... Widzisz go!?

Więzień ani drgnął. Wtedy dozorca wszedł do celi i kopnął go nogą.

— Wstawaj!... W nocy spać będziesz... Wstawaj! nie wolno!

Zaremba ciężko się dźwignął.

— Czego mię kopiesz? Nie waż się!..

— A nie kładź się, kiedy nie wolno! Mogę z tobą i nie to zrobić!

— Kiedy jeść mi dacie?

— Kiedy będzie ci się należało!

— Jak śmiesz tak mówić do mnie?

— Mówię, jak mi kazano! Coś ty za jeden? Patrzcie go!.. Tutaj cię rychło... u-tem-pe-rują!... Też... pan! Pa-no-wie!... Skończyło się wasze panowanie! — mruczał dozorca, zamykając przezornie drzwi.

Zaremba pozostał na ziemi, w półleżącej postawie, oparty o ścianę. Patrzał na swe nogi, oplątane zwojami łańcuchów, na przerażające mury tak już dobrze znane, na obrzydliwe przepisy. Nie chciało mu się ani myśleć, ani nawet chcieć ..

— Źle... Nerwy!... Wyszedłem z równowagi... A tego właśnie im trzeba! — rozważał z przykrością i goryczą przebytą przed chwilą scenę.

— A jednak trzeba .. trzeba żyć! Trzeba spędzić w jakikolwiek sposób te siedem tysięcy sto dni!.. Już... siedem tysięcy dziewięćdziesiąt dziewięć... — poprawił się, spoglądając na mierzchnące okno.

— Trzeba nie dawać się!.. Nie nastręczać im najmniejszego powodu do udręczeń. Nie wykazywać ani bólu ani smutku, ani radości, ani nadziei, ani rozpaczy... Trzeba zataić się... Zawisnąć, jak chmura, w której, niewiadomo, czy siepie deszczyk płaczliwy, czy drzemie piorun! Zwinąć się w kłębek, jak żółw, jak jeż, jak okularnik... Człowiek zawsze się lęka "niewiadomego"! A jednocześnie należy oszczędzać sił, zmniejszyć wymagania swe do minimum, do zera, do... oddechu! Przecie nawet ludzie, przykuci na łańcuchu do ściany na lat dziesiątki, wychodzili z lochów cało i zdrowo i nowe zaczynali życie! Przecię joggowie indyjscy, żywcem pogrzebani, nie umierają. Życie... życie!.. Żyć!.. Zachować gdzieś głęboko, gdzieś na samym dnie duszy, w granitowym sarkofagu serca własne ziarno... Zamknąć w twardej i niezmożonej bryle woli ciepłą skrę dla przyszłych pożarów... Ocalić ją pod suchym popiołem! Traktować ich postępski i ich samych, jak żywioł... Brać zmiany i wypadki otoczenia, jak niezwykłe przygody czarnoksięskiej podróży... Czyż mogłyby mnie obrazić jakieś małpy lub dzikie, do człowieka podobne larwy?.. Czyż mógłby

mnie rozgniewać cuchnący deszcz, upadły, z napędzonej wichurą chmury? Czy mogę cierpieć, że koń jest koniem, a boa - constrictor dusicielem? Oni nie są mymi bliźnimi, mymi braćmi!...

Chcą, żebym zginął... Rozstawili wszędzie zasadzki na duszę moją... A więc nie zdradzę się, że ją mam jeszcze... Nie ruszę się... Nie będę działał, nie będę odpowiadał... Będę czynił wszystko, co każą, jak czynią członki moje ruchy pod prawem ciążenia, jak spływa woda z pochylonego naczynia... Jak asceta, zamknę myśl w małym kółeczku lub puszczę ją, jak wizjoner, w daleki świat, w kraj niedościgły, w obszar nieobeszły... Tam będę wolny, wszechmocny i ... łaskawy... Tam rozważać będę w sobie i o nich... rozmyślać będę o niedostrzegalnych gwiezdnych mgławicach i niezliczonych przeobrażeniach tego, czego jestem małą kropelką... Aż przyjdzie dzień i wyjdę stąd... wyjdę, wyjdę... uzbrojony i silny, jak dziś... silniejszy o całe morze niezłomnych doświadczeń!...

Wstał wzburzony i wolnymi krokami zaczął chodzić po celi, wlokąc za sobą łańcuchy. Nie czuł bólu otwierających się na nowo ran, nie słyszał, jak odemknął się "judasz" i zielonawe złe oko śledziło za nim uważnie.

Na razie jednak dał mu dozorca spokój.

III

O oznaczonej w przepisach porze zabłysło w murze nad drzwiami światełko lampki elektrycznej; później wszedł dozorca, otworzył łóżko, wydał koc do okrywania się. . Zielonawe jego oczy złośliwie błysnęły, gdy spostrzegł, jak spojrzenie więźnia szuka wszędzie chleba, zwlekał z zamknięciem drzwi, czekał na zapytanie, na wymówkę, lub skargę...

Ale więzień milczał z zaciśniętymi ustami, choć głód i męka wydłużyły mu twarz, jak wydłuża odbicie gwiazdy zimna toń płynącej wody.

Noc spędził Zaremba w przykrym, głodowym półśnie. Było mu zimno. Daremnie kulił się i okrywał się kusym, wytartym kocem. Jak krew przez sito, uchodziło zeń ciepło dołem przez rzadkie płótno wyrka. Długie, wilgotne palce chłodu wślizgiwały się nieustannie przez niezliczone otwory pokrycia i nużyły swym dotknięciem jego wycieńczone ciało.

O brzasku więzienie przebudziło się. Zaremba usłyszał, jak w oddali zaszczękały odrzucane z drzwi sztaby... Łoskot zbliżał się ku niemu sto-

pniowo, wreszcie wstrząsł odźwierzem jego celi, napełnił grubjańskim zgrzytem jej grobową ciszę.

Więzień usiadł i spojrzał z obrzydzeniem na zlekka zaróżowione bielmo okna.

— Aha, więc jest od wschodu i dzień pewnie będzie pogodny?!...

Zaczął się ubierać. Zdala znowu szły ku niemu korytarzem szmery i kroki. Cicho otwarła się klapa we drzwiach i ręka w szarym, aresztanckim rękawie podała mu krajankę razowego chleba. Potym zatupały liczne nogi, zgrzytnął rygiel... Zaremba domyślił się, że to zwykły porachunek więzienny, mimo to drgnął i wyprężył się. W otwartych drzwiach pojawił się starszy nadzorca.

— Skarżył się wczoraj wasz klucznik na nieposłuszeństwo, na spanie na podłodze, na grubjaństwo... Dyrektor wzbronił za karę na dwa dni ciepłej strawy!... — przemówił przez nos, unikając wzroku Zaremby i osobistych zwrotów.

Cofnął się niezwłocznie od progu, a gruby, senny dozorca — inny, niż wczoraj — wszedł, zatrzasnął łóżko, wyszedł i przywarł drzwi, nie rzekłszy ani słowa. Zaremba czuł się dotkniętym, chciał pytać się, protestować, ale już ich nie było, już mruczeli coś opodal za ścianą. W dodatku przypomniał sobie wczorajsze postanowienie...

— Chcą mię odrazu złamać.

Przeszedł się wzburzony kilkakroć po celi, zanim go nie wstrzymał ból w odnowionej ranie.

— Trzeba przedewszystkim zagoić nogę!

Umył się, z bolesnym drganiem ust, przygładził dłonią resztkę wąsów, usiadł i, nabrawszy w kubek wody, spożywał chciwie otrzymany chleb

Z wysiłkiem wstrzymał się, aby nie zjeść wszystkiego. W tym czasie z korytarza dobiegły go charakterystyczne szmery, suwanie szczotek po posadzce i brzęk kajdanów. Domyślił się, że więźniowie sprzątają w celach. Niezadługo otwarły się ponownie drzwi i dozorca rzekł kwaśno:

— Zamiatać!...

Zaremba spojrzał pytająco.

— Tutaj są! — dodał niechętnie, kiwając głową w bok korytarza. Zaremba wyszedł radośnie z celi i w tę krótką chwilkę, kiedy schylał się po przystawione do ściany szczotki i ścierki, obrzucił chciwym okiem cichy, białawy korytarz, szereg ciemnych drzwi zamczystych, stojącą w oddali przy wyjściu ławeczkę... — Odwracając się, ogarnął spojrzeniem wielkie matowe okno naprzeciwko, pełne blado - złotego połysku. Na domiar lufcik w górze był otwarty i widział w nim kawałek cudnego błękitu...

— Spiesz się! — ponukał, ziewając, dozorca.

Zaremba ani myślał go słuchać. Nie sprzeczał się wszakże z gburem. Niezmiernie starannie podmiótł celę, następnie wytarł posadzkę wilgotną szmatą, tąsamą szmatą obtarł rurę ogrzewalną, muszlę wodociągu, stół, stołek, ramę łóżka... Potym na klęczkach, z wielką starannością nadawał szczotką połysk asfaltowej podłodze. Starał się pracę przeciągnąć jak najdłużej. Aż znudzony dozorca zamruczał:

— Dosyć, już dosyć! Już się świeci!.. A nie łaź dużo, to glanc nie zejdzie!... Wynoś już szczotki!... Nie sam tu jesteś!...

— A... dużo? — szepnął Zaremba.

Dozorca chwilę nań patrzał zaropiałymi, czarnymi oczkami i coś mu drgnęło w nalanej twarzy.

— Dużo! — odbąknął i drzwi pomału przymknął.

Wyczerpany Zaremba usiadł przy stole, oparł głowę na rękach i zamyślił się.

— Dużo... A taka cisza!?

Z za okna, z za murów zewnętrznych, gdzieś niby z niezmiernego oddala, dolatywał tutaj stłumiony pogwar, podobny do gędźby rozradowanych ptaków lub brzęczenia pracującego roju. Czasem wybuchał głośniejszy pobrzęk łańcuchów lub tupot miarowych kroków. Tam, w głównym korpusie ludzie, bądź co bądź, żyli... Ale tutaj, w tym tajemniczym budynku o grubych murach i małych oknach, wszystkie dźwięki były tak ciche, tak nieśmiałe, jak gdyby za licznymi, czarnymi drzwiami pochowane były nie żywe, młode ciała, lecz konające trupy...

Zaremba błądził wzrokiem po jednostajnie szarych ścianach, po jednostajnie czarnym ich oblamowaniu u dołu. Oglądał ciekawie kamyczki, doleczki, skazy najmniejsze na "glancie" asfaltu...

— A jednak trzeba żyć!.. Trzeba z tego "nic" ulepić pajęczynę wrażeń!.. Przedewszystkim zrobimy sobie kalendarz! Którego mamy dzisiaj!?

Zaczął liczyć, przypominać, starannie zresztą unikając wszystkiego, coby mogło zbyt ożywić wspomnienia. Wciąż chodził, jakby wokoło okrutnego, śpiącego na dnie duszy tygrysa... I twarz.. twarz matki, blada... mdlejąca... zalana łzami.. w chwili pożegnania... wbrew woli wypływała

przed nim... odpychał ją z burzliwą rozpaczą, z boleśnie drżącym przerażeniem...

— Nie, nie!... Trzeba żyć!

Podciągając jak najwyżej kajdany, by mu nie żarły stóp i nie dźwięczały, poszedł na palcach wzdłuż ścian na wywiady dogodnego na kalendarz miejsca. Cal po calu, zbadał wszystkie chropawości, rysy, wgłębienia muru, zajrzał do wszystkich kącików i najbardziej utajonych zakamarków.

Znalazł kilka zatartych napisów, czy liczb, które go ucieszyły, zaciekawiły i wzruszyły, jak ślady człowieka w pustyni, jak odkrycia Krozuego.

Wreszcie po długich poszukiwaniach dostrzegł na samej krawędzi czarnego malowania celi drobniuchne, pobrzeżne kreski w wielkiej mnogości. Każda siódma była dłuższa, każda trzydziesta lub trzydziesta pierwsza jeszcze dłuższa. Robota była subtelna, pracowita, niezmiernie dokładna, nieledwie elegancka. Długo zastanawiał się, jakim narzędziem mogła być wykonaną. Nie patykiem, ani paznokciem, gdyż kreski były za cienkie, za drobne i za blisko siebie leżące. . Czyżby igłą? Ale skądże igła? W każdym razie robota musiała trwać długo... Żałował, że jest już zrobiona. .

Gdy tak siedział w kucki koło owego cudu, usłyszał, że do drzwi skrada się, jak kot przebiegły, "grubas".

Filcowe jego cichostępy sprawiały nie więcej hałasu, jak uderzenia skrzydeł ćmy nocnej, lecz Zaremba już dawno siedział w więzieniu i słyszał... jak trawa rośnie. Powstał więc szybko i odskoczył na środek, ale dzięki okowom zrobił to tak niezgrabnie, że dozorca coś zapodejrzał i długo

nie porzucał "judasza". Wreszcie otwarł drzwi i obrzucił ścianę wystraszonym spojrzeniem.

— Co tu robisz? Siedź spokojnie!...

Zaremba zmierzył nieprzyjaciela wzrokiem **pełnym szyderstwa** i nienawiści.

— Za dużo ci jeszcze jeść dają, co? — mruczał dozorca, wychodząc. — Czego im trzeba?! Wiecznie tylko łaź i pilnuj, jak małych dzieci!...

Porwany niepokonaną ciekawością, błądził Zaremba dalej po swej celi, szukając kryjówek i narzędzi poprzednika. Ledwie nie krzyknął z radości, gdy w muszli wodociągu z boku dostrzegł małą szczerbę po sztucznie odłupanym kawałku polewy. Zaczął próbować, czy nie uczyni tego gdzieindziej za pomocą paznokci, a gdy przekonał się, że to niemożliwe, posłuchał, czy dozorca daleko, wspiął się jedną nogą na kuble, kolano drugiej oparł na krawędzi wodociągu, i z całych sił uderzył ogniwem kajdan w upatrzone miejsce. Dźwięk ostry, jak uderzenie koncerza o zbroję, przebił ciszę.

Zaremba leciuchno skoczył i przyczaił się na stołku u stołu, głowę oparł na ręku i udał, że patrzy w okno. Czuł za sobą z tyłu w "judaszu" ślepawe, czarne oczki, przyglądające się mu gniewnie i podejrzliwie. Nie ruszał się wszakże, bał się, że lada chwila, dozorca otworzy drzwi, zajrzy do celi, zobaczy w wodociągu odbitą emalję. Ale głuchy szum w drugim końcu korytarza rychło powołał dozorcę w tamtą stronę.

Zaremba znalazł kilka maluchnych, białych kawałeczków ostrego szkła i skwapliwie schował je zalepione w chlebie w szparę między ścianę i su-

rowcową płytę konchy wodociągu. Miał więc już pióro i malusieńki nożyk.

Po rytmicznym stukaniu odrzucanych klap domyślił się, że roznoszą obiad; skorzystał z zajęcia dozorcy, aby raz jeszcze obejrzeć i nacieszyć się odkrytym kalendarzem. Był roczny a może nawet dwuroczny, gdyż na niektórych kreskach widniały dodatkowe, delikatne znaki. Badał pilnie to szczególne pismo klinowe, silił się odgadnąć znaczenie najmniejszej różnicy wyżłobień.

Gdy zbliżono się ku niemu z obiadem, siedział w dawnej pozie przy stole. "Judasz" otworzył się na chwilę, ale ciężar ceber na kółkach potoczył się dalej i jedynie nęcący zapach ciepłego kapuśniaku uderzył drażniąco o wygłodzone zmysły więźnia.

Osłabnął, ciało mu zmiękło, głowę jeszcze niżej pochylił nad stołem i zamknął oczy.

— Na co to komu? Po co?! Prześladują, dręczą małostkowo... Jego, co rzucał pioruny pod nogi władców świata i samą ziemię ważył się na inne pchać tory!... Niedorzeczna, niepojęta i marna zemsta!... Przecież nie jest już niebezpiecznym, na Boga!... Chyba, że chcą zgiąć go, złamać, aby wywieść jego samego, wraz z jego umiłowaniem, na pośmiewisko ludów... Niedoczekanie ich!... Upiór jego nie będzie straszył małodusznych... Przenigdy!... Owszem, będzie niebezpiecznym... bo gdy wyjdzie — tą samą pójdzie drogą!... A wyjdzie, wyjdzie!... Zatai się, a wyjdzie!... Daremnie chcą go zamordować ukłuciami szpilek!... To się nie uda!... Nie... Zobaczymy!

Bo pająk mędrzec, gdy mu sieć zmiotą.
W błahej rozpaczy się nie rozleni.
Ale ze złotych serca promieni
Znowu wysnuje rzeczywistość złotą. .

Przypomniał sobie dawno gdzieś wyczytany wiersz.

Będziemy sobie zdobywali... kulturę! Mamy już pióro i lancet!... Na spacerze postaram się dostać kamyczek albo nawet okruch... szkła. Ze szczotki można co dzień wyrwać jedną szczecinkę... Ze ścierki — kawałek niteczki... Tak powstanie własność!... Wszystko się przyda ultraproletarjuszowi!... Naprzykład z wypranych nici można zrobić szarpie na ranę... Albo owinąć nimi okowy, żeby nie wżerały się w nogi... wreszcie można z nich skręcić sznureczek do podtrzymywania łańcuchów, żeby nie wlokły się w czasie chodzenia, kiedy ręce zajęte... Brzęk zdradza mię przed smokami... Nim uchwyce łańcuch ręką, warczy nieznośnie, jak stado psów!...

Przykucnął znowu przed kalendarzem i rozmyślał:

— Kto tu mógł siedzieć przedemną? Czy długo siedział?.. Czy dawno wyszedł?.. Czy aby wyszedł? Może umarł?... Pewnie umarł!... Więzienie zbyt nowe, aby zdążył odsiedzieć... Tu sami długoterminowi ..

Silił się przedstawić sobie tego poprzednika, dostrzegał nieledwie bladą jego marę, tlukącą się w białawym, martwym powietrzu celi. Gorączkowo płonące oczy... spieczone usta jęczą i ciężko dyszą... Niezdrowe wypieki na trupiej twarzy... Słaby, chudy, przejrzysty szkielet... Sam, sam

nikogo wokoło!... Ci tylko tam na korytarzu, krążą cicho i złowrogo, jak wielkie, ciemne wampiry.. Pewnie suchotnik!.. A teraz jego, Zarembę, tu posadzono umyślnie, aby go zatruć śmiertelnie, nieuleczalnie... Co za ohyda!

Ściskał mimowoli usta i ze wstrętem zdjął dłonie ze stołu... Wszędzie widział miljardy chorobotwórczych bakterji, wyschłych zakaźnych plwocin, łuszczek skórnego łupieżu, pył osiadłego i wysuszonego oddechu... On też umrze, jak tamten... okropnie, samotnie!...

Znowu twarz matki...

— Ach, precz!

Bez względu na ból, na krew, zaczął chodzić z wielkim szczękaniem łańcuchów wzdłuż po celi. Daremnie dozorca patrzał przez "judasza", daremnie upominał go, otworzywszy klapę. Zaremba nie odzywał się i chodził, chodził bez przerwy.

Naówczas w innych celach, jakby wielokrotne echa, obudziły się podobne, głuche łoskoty, powstali i zaruszali się wraz jeńcy, jakby tknięci niewstrzymaną zarazą... Coraz dalej szerzył się wzdłuż korytarza ten dziwny, żelazny szum, podobny do szumu napływającej chmury gradowej.

Gruby dozorca miotał się bezradnie od drzwi do drzwi, prosił, przekładał, namawiał, wreszcie zaklął:

— Nie chcecie!... A niech was djabli!...

Usiadł spokojnie na ławeczce przy wejściu i nasłuchiwał tylko, czy kto nie idzie ze dworu.

W tej chwili w celi Zaremby, w rurze ogrzewalnej zabrzęczało stukanie, cichutkie, jak szelest komarowych skrzydeł.

Zaremba nadstawił uszu.

— Kto?... k-t-o? k-t-o?! — pytał stuk uporczywie.

Zaremba nie mógł jednak odpowiedzieć, gdyż zrobiona przezeń do stukania kulka chleba jeszcze nie wyschła i w dodatku dozorca zerwał się z ławki i znowu krążył podejrzliwie pod jego drzwiami.

IV.

Obudził go ból w nodze.

Świt wątły, nieśmiały z trudnością wsączał się do celi przez bielmo okna. Pręty krat, czarne i zgrubiałe, skutecznie broniły mu drogi. Popioły mroku pływały w powietrzu wokoło, zwieszały się ze stropu, czepiały ścian, zasnuwały kąty, jak ruda, wstrętna pajęczyna, jak rozwieszone urągliwie strzępy łachmanów żebraczych. "Trumienna" podłoga połyskiwała spodem blado, niby wilgoć mogilnego dołu

Zaremba ze wstrętem poczuł odór brudnej, skwaśniałej poduszki i brudniejszego od niej koca, którym był okryty. Choć rana na nodze rwała go srożej, niż nabierający wrzód, podniósł się, cicho brzęcząc kajdanami, usiadł, oparł plecami o mur, objął rękami kolana i głowę z przymkniętymi oczami na nie opuścił. Spać nie mógł, ale pragnął pomarzyć...

...Nizki, obszerny dwór wiejski pod wielkim dachem gontianym, nasuniętym głęboko na ściany, jak kaptur mnicha, z omszałym i poczerniałym, jak zrąb wietrzejącego granitu... W ciepłych, wygodnych, trochę przyciemnionych pokojach staro-

świeckie, ciężkie meble mahoniowe i palisandrowe, a w jadalni ciemny dąb i orzech... Stare, poczerniałe portrety wąsatych szlachciców i gładkich szlachcianek na jasnych spółczesnych obiciach. . Długie, weneckie zwierciadła w przymierzchłych od czasu, złoconych ramach... Kandelabry srebrne i bronzowe portjery... dywany. A w bawialnym białe krzesła ze złotymi pręgami, białe stoły i biurka na cienkich, ślicznie, leciuchno wygiętych nóżkach. Między oknami rzędy starodawnych sztychów, pełnych bojowego dymu i ognia, żołnierzy, koni i dział z figurą małego cesarza pośrodku. W tajemniczej sypialni, dokąd puszczano go rzadko, — ogromna łożnica pod baldachimem, po drugiej stronie druga, a w kącie wielki, zadymiony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na którym błyszczała, niby wielopromienna gwiazda, złota korona i przed którym, jak rok długi, na ołtarzu zieleniło się i kwitło kwiecie, zaś w górze, nie gasnąc, migotał płomyk lampy ze szklem purpurowym. .

Ale najlepiej pamiętał fajczarnię, gdzie stał śmieszny, niepojęty dlań wówczas bilard na wysokich toczonych nogach, a w rogu wznosiła się półokrągła "górka", pełna długich cybuchów wiśniowych i fajek najrozmaitszych rozmiarów i kształtów. Niezmiernie lubił je oglądać, gdyż były wśród nich ślicznie rzeźbione głowy tureckie, jak żywe, z krzywymi nosami lub murzyńskie z białymi oczyma.

Na dole stała skrzyneczka mozaikowa z żółtym, pachnącym tytoniem, dokąd udawało mu się tylko zaglądać ukradkiem. .

Był tam pośrodku głównej ściany obszerny,

czarny, jak paszcza wielkoluda, komin, w którym zimą wesoło buzował się ogień, aż z hukiem pękały grube, rude bierwiona, rozsypując się na rubinowy żar... Wtedy ojciec, wspaniały mężczyzna z sumiastymi wąsami, siedząc w wielkim fotelu, w obłokach tytuniowego dymu, huśtał go nieraz na nodze i nucił półgłosem:

Zawierucha śniegiem bucha,
Na kominku dmie...
Puszczam sobie dym z cybucha...

...Pamięta również wybornie czeladną — dużą sklepioną izbę z długimi stołami "na krzyżakach" i takimiż ławami dokoła... Wymykał się tam nieraz rankami i stara klucznica, ukochana Puchała, raczyła go gorącym buraczanym kulisem z tartymi kartoflami, które tak lubił!... Wieczorem, gdy nie było ojca, w tej izbie przed równie ogromnym, jak w fajczarni, kominem, siedziały kołem prządki, dziewki i domownice z pierzami, z robotą... któraś z nich opowiadała cudne, dreszczem przejmujące bajki o zbójach, o duchach, o odmieńcach, latawicach, wilkołakach i zwidach... o djabłach i zaklętych królewnach, o "kopciuszku", o złej macosze...

Czasem matka czytała głośno książkę nabożną, Żywoty świętych lub dzieje dawne o królach, rycerzach, tatarach...

Teraz słyszał głosy ówczesne... jednostajny szum wrzecion... Widział siebie, małego chłopaczka, tulącego się u kolan matki w kole prządek, gdzie białe kądziele lnu, płowe włosy i jasne chu-

sty kobiet zlewały się w jeden pochylony ku środkowi wianek.

Czuł znów bicie swego zasłuchanego maleńkiego serca i oczy błyszczały mu od zachwytu i trwogi...

Ale nadewszystko lubił i pamiętał ogród, gdzie szumiały potworne białodrzewy o pniach wielkich, jak chłopskie chałupy, o konarach, niknących w niebiosach... Gdzie dęby, lipy i kasztany stuletnie rozsiadały się szeroko, jak hetmanowie; gdzie wysoko strzelały jasne modrzewie; gdzie kędzierzawe klony, wiązy i jawory szeleściły tajemniczo chwiejnymi listkami; gdzie grabina sklepiła się szmaragdową arkadą nad długą aleją... Pamiętał las leszczyny, nieprzebytej i giętkiej, jak bambusowa "dżungla"... Pamiętał wspieniony kwieciem gaj jaśminowy, gdzie zbieg wszelki, uchodząc pościgu, łatwe znajdował "asylum"... Ten gaj rósł bardzo dogodnie, niedaleko szklanych drzwi salonu...

Ale pewniejsze schronisko istniało w głębi ogrodu, w pobliżu wału, gdzie ciernie, berberys, kruszyna, dereń, spowite gęsto jeżyną, dzikim winem, chmielem, tworzyły chaszcz nieprzebyty... Tam chował się nieraz, przeskrobawszy coś w domu, i nie odzywał długo, choć słyszał trwożne głosy i nawoływania, hukające po sadzie...

Brat mleczny, ogrodniczek Franuś, żywił go wtedy marchwią, rzepą i jabłkami...

...Albo pasieka z rzędem popielatych pni, wyciągniętych sznurem pod wygiętymi czapkami, niby dawni żołnierze w jednakowych mundurach

lub mnichy... Albo sad owocowy, biały na wiosnę od kwiecia, jak od spadłego śniegu, a ciepły, woniejący, jak rajski ogrojec... Albo sadzawka za lamusem, za ogrodem, koło murowanej gorzelni.. Co za przedziwne i zajmujące bywały tam żaby!... Co za dziwy wyrabiała czarna tajemnicza woda, bulkając pod zieloną rzęsą!...

— — — — — — — — — — — — —

Nagle wszystko znikło, niby zdmuchnięte wichrem...

...Zaremba ujrzał twarz ojca gniewną, wzruszoną, srebrne wąsy wspaniałe, trzęsące się starczo...

— Wywłaszczyć... mnie przymusowo... wywłaszczyć!... Nigdy!... Nie pozwolę!... Nie zgodzę się!... Wypędzić mię stąd, z ojczystego gniazda!?... I to ty, ty mi to mówisz?... Uszom swoim nie wierzę!...

— Przyjdzie żyd lichwiarz! Przyjdzie prusak... Przyjdzie pierwszy lepszy z brzegu, mocniejszy od nas, i uczyni to siłą dla swoich celów... Czyż, ojcze, nie będzie rzeczą słuszniejszą, wspanialszą, rozumniejszą... oddać dobrowolnie... naszemu ludowi... dla przyszłości... dla ojczyzny — błagał.

Stary trząsł przecząco lwią głową.

— Wytną sad cudzoziemcy... Po szczapie rozniosą starą sadybę... Czyż nie milej wyobrażać sobie, że uczyć się tu będą dzieci chłopskie, potomkowie tych pracowników, których przodkowie nasi skrzywdzili tak ciężko?!

— Mrzonki!... Nigdy to nie nastąpi! Zresztą,

powiedziałem: siłą mnie tylko stąd wygnacie... siłą!...

— Wygnamy, ojcze!... Nic nas nie wstrzyma!... My lepszą budujemy przyszłość... nie dla siebie, lecz dla ojczyzny .. dla całego narodu... dla ludzkości!... Nic nas nie wstrzyma!... Czas zniszczyć ciemięstwo, przemoc, nienawiść, chciwość i, ojca ich — powszechną niepewność bytu...

— — — — — — — — — — — — —

...I znów, niby wicher zdmuchnął, znikły złudne dźwięki i obrazy...

. . . .

... — Synu!... synu!... Żegnaj, jedyny mój, ukochany!...

Przez gęstą kratę, przez drucianą siatkę, obmierzłą, jak błoto, bluźnięte w chorą źrenicę, widzi twarz droższa nad wszystko, oblicze śmiertelne, blade, w koronie białych włosów...

Jeno oczy, utkwione w nim, płoną, jak żagwie, zdają się przepalać chmury, popielić kraty, trawić przeszkody, przestrzeń i samo rozwiewać powietrze... Czuje pieszczotliwe ich ciepło na powiekach, na ustach, na czole... Płyną z nich ciurkiem dwie strugi siwych łez... Pod czarną suknią trzepoczą się piersi, jak skrzydła umierającego ptaka.

— — — — — — — — — — — — —

Piersi więźnia równie trzepotały się, jak skrzydła ptaka, z pod opuszczonych powiek wymykały zdradzieckie łzy...

...Nawet jej nie uściskał!...

. . . .

Nie słyszał, jak łoskotały w korytarzu otwierane wrzeciądze. Dopiero, gdy drzwi jego własnej celi odemknięto z łoskotem, podniósł zdumione oczy.

—Wstawać!

Spełznął ciężko z pryczy, którą natychmiast przytrzaśnięto do ściany.

— Noga mnie boli... Żądam doktora! — rzekł, nie patrząc na dozorcę.

Był to tensam jaszczurkowaty "sucharek", co się na niego naskarżył. Spojrzał zjadliwie na opuchłą stopę, poczym podniósł zielonawe gały na więźnia, ruszył wypłowiałymi wąsami i drzwi zatrzasnął.

— Bazyliszek! — pomyślał Zaremba, z ukosa śledząc za swym wrogiem.

Do obiadu przesiedział bez ruchu za stolikiem, przejęty, zbolały, rozbity...

— Nie... nie można sobie pozwalać! Haszysz!... Bóg wie co!... I źle się skończyć musi... — rozmyślał. — Tu... żadnych sentymentów, żadnych wspomnień... Przedewszystkim... trzeźwa rzeczywistość... Precz z romantyzmem! Program małych zadań i małych spraw!...

Rozśmiał się.

V.

Wzrokiem błądząc po celi, wykrył pod oknem pająka i żywo ruszył zaraz w tę stronę, podtrzymując nieznośne kajdany.

— Zawsze się coś znajdzie... Tylko nie trzeba chwytać gwiazd z nieba!

Żółtawej barwy, brunatno nakrapiany "towarzysz" siedział w maluchnej matni pośrodku swej sieci i bacznie patrzył przed siebie wypukłymi, jak łebki szpilek, oczkami.

Gdy Zaremba nachylił ku niemu twarz, drapieżnik zląkł się, podkurczył pod siebie nogi i biały od spodu, jak ziarnko grochu, odwłok wcisnął głębiej w woreczek pajęczy.

— Trzeba go do siebie przyuczyć, ułaskawić! — rozważał więzień, nie przestając badać najdrobniejszych szczegółów ubarwienia, kształtu, organów i budowy sieci odkrytego współmieszkańca.

Następnie począł Zaremba polować na muchy. Nie dostrzegł ich jednak nigdzie w celi.

— Czym żywi się tutaj ten drapieżca? Zdaje się, że niema nic żywego, oprócz mnie i... pcheł! Trzeba będzie spróbować, czy je konsumuje?

Podano nareszcie Zarembie przez okienko drewnianą łyżkę, drewniany, mocno poszczypany talerz z rozmazaną na nim kaszą i mały włochaty od starości szafliczek, do połowy wypełniony brunatnym cuchnącym płynem. Z paru pływających w nim łupin domyślił się, że to grochówka. Zjadł wszystko z apetytem, choć w kaszy trafił na ślady karalucha, a na dnie grochówki pływały jakieś białawe wałeczki, bardzo podobne do ugotowanych robaków. Lecz strawa była gorąca, zawierała odrobinę tłuszczu i na wyposzczone, wyziębłe jego wnętrzności, na omdlewające od wycieńczenia ciało podziałała, jak nektar, jak wino. Drapieżnie śledził najmniejszą kroplę, ginącą marnie gdzieś w kudełkach zadrowatej wnętrzności szafliczka; okruchów chleba, spadłych ze stołu, szukał długo i pilnie w kurzu podłogi...

— Spendius w namiocie Hamilkara... — pomyślał, przypominając sobie słynną scenę z "Salambo", kiedy wystawieni na próbę hardzi przywódcy uśmierzanych głodem barbarzyńców, zanurzali wynędzniałe twarze w misę zupy dyniowej.

— Aha, mucha!

Ucieszył się, spostrzegłszy, że wraz ze strawą przyleciała zapewne z kuchni nieproszona stołownica. Nie miał zamiaru dzielić się z nią najmniejszą kruszynką. Owszem, przeznaczył ją samą swemu nowemu przyjacielowi. Lecz przebiegły owad brzęczał wysoko u okna, gdzie go dostać nie mógł. Postanowił ją zwabić i ulepiwszy kulkę z chleba, przykleił ją wysoko na pochyłości podokna. Przyczaił się u muru i czekał...

Miał zajęcie do samego zmroku. Wytrawna stara mucha długo udawała, że nie widzi przynęty i ani myślała zniżać się do jej poziomu. Romantycznie bzykając, błądziła gdzieś w wyżynach pod samym sufitem, łaziła po suficie, po szybach, po kratach, po niedostępnych szczytach ścian, strzygła lekceważąco nóżkami i otrzepywała skrzydełka...

"Bazyliszek" zaglądał kilkakroć do celi, widocznie zdziwiony panującą w niej ciszą i niezwykłymi ruchami zadartej głowy więźnia...

O zmroku mucha już przysiadła niedaleko chleba, gdy wtym cicho zabrzęczało stukanie. Zaledwie jednak Zaremba spróbował odpowiedzieć, zaszeleściały pod drzwiami nietoperzowe kroki "Bazyliszka", błysnęło elektryczne światło i syknął odsłonięty niepostrzeżenie "judasz"...

Zdołał jedynie wystukać tego wieczoru swoje nazwisko i swoją sprawę. Był tym do tego stopnia podniecony, że miał ochotę chodzić, ruszać się, śpiewać, lecz okrutny ból w nodze trzymał go na uwięzi. Doktór, oczywiście, nie przyszedł. Zaremba postanowił już o nic nie pytać, niczego nie żądać, zanim nie dowie się wszystkiego od towarzyszy.

Odtąd stukał dorywczo, ile się dało.

Stukał w czasie sprzątania, roznoszenia obiadu, sprawdzania więźniów, gdy straż była zajęta, gdy hałas panował na korytarzu... W czasie dyżuru "Grubego", który miał słuch tępszy i usposobienie ociężalsze, stukał nawet — wprawdzie niezmiernie cicho i ostrożnie — o zmroku, przy głębokiej ciszy... "Bazyliszka" ustrzec się było o wiele trud-

niej. Czujny, jak szakal, przebiegły, jak tygrys, zjawiał się niespodzianie przy najmniejszej zmianie w zachowaniu się więźniów, jak gdyby dręczycielska jego dusza żyła wspólnym z nimi nastrojem... Raz omało nie przyłapał Zaremby, chociaż ten trącał o rurę swą gałeczką chleba nie głośniej, niż uwięziony komar nóżkami o szkło szyby. Nagle, jak piorun, rozbłysła lampa elektryczna i klapnęła zasuwka "judasza". Zaremba ledwie zdążył zerwać się i odskoczyć na środek celi. Stał w słupie światła z nogami zaplątanymi boleśnie w łańcuchach, zmieszany, jak przydybany na psocie żak. Lęk i zawstydzenie zwolna przechodziły w gniew. Gdy "paszczęka kraba" otwarła się i w kwadracie jej ukazały się nienawistne konopiaste wąsy i ostry nos dozorcy, młodzieniec już spoglądał wyniośle i wyzywająco.

— Stukasz?!... Stukaj, stukaj... prędko dostukasz się... ciemnicy!

Zaremba odwrócił się tyłem do mówiącego. Słyszał, jak od niego dozorca udał się do następnej celi, jak coś gadał a potym do trzeciej... Gdy niedługo spróbował wznowić stukanie, nikt mu nie odpowiedział.

Zrozumiał naówczas, że stukanie jest najcenniejszym i najbardziej prześladowanym z tajnych misterjów tutejszych, że należy chronić je pieczołowicie, używać oględnie, przezornie...

Zwolna, po kilka wyrazów codziennie, dowiedział się nareszcie wszystkiego...

Miał dwudziestu towarzyszy - współwięźniów. Po kolei wystukano mu nazwiska, sprawę, karę

i numer celi każdego. Byli to znani powszechnie ze sprawozdań sądowych "samsoni", którzy różnymi czasy i w różnych miejscach wstrząsnęli filarami gmachu...

Każda taka wiadomość dawała mu pokarm do całodziennych wzruszeń i rozważań. Wspominał sploty tragicznych wypadków, ubolewał nad niepowodzeniami, porównywał ich historję ze zdarzeniami własnego żywota.

Rozbierał teorje i płonął pragnieniem dowiedzenia się szczegółów, podzielenia myślami... To też, gdy zbieg okoliczności przerywał stukanie, gdy wzrastało z niewiadomych przyczyn podejrzliwe podniecenie dozorców, i jego ogarniał męczący niepokój, żarła zgryźliwa tęsknota. — Daremnie próbował rozerwać się pająkiem, którego ułaskawił na tyle, że ten brał mu z ręki muchy, nawet właził na podstawiony palec i nieruchomo wpatrywał się weń wypukłymi ślepiami.

— Roztyłeś się, smoku!... To ci zaszkodzi!... Tknie cię jeszcze apopleksja! Trzeba używać gimnastyki!... szeptał żartobliwie, gładząc po kolei wąsate nogi owada, które ten z niemierną powagą podnosił natychmiast do góry.

Sam Zaremba też się co dzień gimnastykował, lecz sił mu ubywało i czynił to z coraz większym przymusem.

— Do licha! Źle!... Schudłem, zdaje się, bardzo... Jak dalej tak pójdzie, nie na długo mnie starczy!...

Pragnął bardzo przejrzeć się, ale na nikłym błyszczu asfaltowej posadzki oznaczały się ledwie

niewyraźne zarysy jego postaci. Wpadł więc na pomysł użycia miski z wodą, jako zwierciadła. Po długich kombinacjach światłocienia, wypróbowanych w rozmaitych kątach celi, ujrzał nareszcie na pociemniałej tafli płynu twarz straszną, obnażoną czaszkę prawie trupią, z ciemnymi i zapadłymi oczodołami...

Cofnął się przerażony i choć widmo ciągnęło go z fatalną siłą, opanował się i wodę wylał...

— Poco to?... Jak najmniej zajmować się sobą!...

Podszedł do drzwi, podsłuchał i leciuchno, najciszej, jak umiał, zastukał

— Sąsiedzie...

— Co!? — odpowiedziano zdala.

— Powiedzcie co!... Tak mi dziś tęskno!...

Długa cisza.

Nie śmiał powtarzać pytania. Stał markotny przed ścianą i wydało mu się, że po tamtej jej stronie pełza, rozkrzyżowawszy ręce, straszny cień człowieka... Słyszał szmer niewyraźny, podziemny i towarzyszący mu cichy jęk żelaza.

— Jutro przyjdzie Herod!... — zastukano nagle zdala.

— Kto to Herod?

— Dyrektor.

— Co to za człowiek?

— Gdyby obdzierano w jego oczach którego z nas ze skóry, nie mrugnąłby powieką...

— Taak! Więc co?

— Nie zapomnijcie żądać skórzni pod kajdany... Wszak rana Wasza nie zagoiła się.

— Nie ropieje na szczęście...

— To dobrze. Wszyscy żądamy skórzni... Jest to obecnie przedmiot naszej zbiorowej walki...

— Walki?... Naszej walki? — wystukał pytająco.

— No tak!... To — i spacer zbiorowy...

— Ja wcale nie mam spaceru...

— Bezprawie. Wskażcie na prawidła i żądajcie...

— Jak żądać?

— Stukajcie do drzwi głośno, kiedy przyjdzie na was kolej i powiedzcie, żeby was wyprowadzili...

— Aha, dobrze!... Ale... nie mam ochoty zwracać się do tych drabów... Zaczekam na Heroda...

— Jak uważacie...

Znowu długie milczenie. Wzdłuż korytarza ciężko przecłapał "Grubas".

— Kolego?...

— ?!...

— Kto siedzi w celi między mną i wami? Nie powiedzieliście.

— Nie wiem. Jakiś dziwak, który nie odpowiada.

— Domyślamy się, że to...

Głośna figlarna gama zabębniła znienacka tuż na rurze.

Zaremba odskoczył i przysiadł na stołku, pewny, że dozorca natychmiast się zjawi. Istotnie usłyszał, jak wkrótce otwarła się klapa w sąsiednim numerze i zawarczały głuche kłótliwe głosy. Po-

tym odemknął się "judasz" u niego i zalśniło w nim oko.

Nie miał Zaremba już dnia tego sposobności do stukania. "Grubas" rzucał się po korytarzu, jak buhaj po hiszpańskim cyrku

Ale nazajutrz, skoro usłyszał Zaremba, że zaczęło się sprzątanie cel, niezwłocznie zastukał do najbliższego sąsiada umyślnie w ścianę, żeby dać mu do zrozumienia, że stuka specjalnie do niego...

— Kto?... kto?... Odpowiedzcie, sąsiedzie! Zaremba... Zaremba... odpowiedzcie... kto!... — pukał uparcie.

— Bim... bam... bum!... — odpowiedziano mu dziwacznie, po długim wyczekiwaniu i natarczywych domaganiach się.

— Kto jesteście?... Dlaczego nie odpowiadacie?!

— Bim... bam!... — rozległo się zabawnie tu i tam po ścianie.

— Widocznie nie zna alfabetu!.. — pomyślał i zaczął systematycznie wystukiwać litery, co zazwyczaj chwytali w lot w więzieniach najmniej sprytni

Nic nie pomagało. Zamiast odpowiedzi rozległo się jakieś cudaczne drapanie, potym długa ręka zakreśliła niby wielkie półkole na murze. Musiał przestać, gdyż straż zbliżała się ku nim.

Potym nadsłuchiwał, czy nie wyprowadzają na spacer... Ale nie. W korytarzu panowała niezwykła cisza. Dopiero przed samym obiadem rozwarły się drzwi wchodowe w jakiś nieuchwytnie odmienny sposób, zadudniły liczniejsze kroki i

zgrzytnęły niezwykle głośno i dobitnie rygle otwieranych kaźni.

— Herod idzie!... — domyślił się Zaremba i ze wzburzeniem i rozpaczą poczuł, że zaczyna drżeć.

— Nie lękam się go... nie lękam się go... To nic!... To... z samotności!... — powtarzał, pijąc wodę i przechadzając się po celi.

Dyrektor był już niedaleko odeń. Dłużej zabawił u jego sąsiada. Gadał coś grubym i posępnym głosem. Zaremba tymczasem uspokoił się zupełnie. Spostrzegł, że ktoś zagląda do niego przez "judasza", że go śledzi ostrożnie. Nareszcie warknęły żelazne zasuwy i odchyliła się nienawistna tafla drewniana. Na progu stanął tęgi, kościsty mężczyzna w zielonym mundurze, już znany mu w chwili przyjazdu.

— Czy niema próśb... pretensji?...

— Nogę mam skaleczoną... Doktora... Skórznie pod kajdany... Spacer... Nie dano mi dotychczas spaceru — wyrecytował Zaremba jednym tchem.

— Spacer po sześciu tygodniach...

— W prawidłach nic o tym nie powiedziano. .

Czarne, nieruchome źrenice Heroda zamigotały.

— W prawidłach?... Żadnych prawideł!... i żadnych praw!... Prawa zostały tam!... — machnął za siebie ręką. — Prawidła są dla porządku a nie dla ciebie!... Skórzni nie będzie... Nie wydano na skórznie pieniędzy... Słyszałem, że chodzisz za dużo, że jesteś... niespokojny... Przed chwilą też chodziłeś!...

Reszta krwi wybiła na wychudłe policzki więźnia, wargi mu poczynały drgać spazmatycznie. Żelazne spojrzenie Heroda świdrowało twarz jeńca z bezlitosną pogardą.

Wreszcie dyrektor zrobił nieznaczny ruch ręką, cofnął się i drzwi natychmiast zawarły się z hukiem.

— Łotr, łotr!... O nic prosić nie będę, o nic!... Skórznie pod kajdany... przedmiot naszej zbiorowej walki!.. Cha, cha!... — szeptał, latając z kąta w kąt po celi, jak opętany. Krew lała mu się z poranionej nogi i plamiła starannie wyszorowaną podłogę. Brzęk łańcuchów wypełniał swym łoskotem całe więzienie. "Bazyliszek" przyglądał mu się pilnie przez "judasza", ale nic nie mówił.

Dopiero o zmroku, gdy ucichło, znużony więzień usiadł przy stole i zimne czoło oparł na drżącej dłoni. Ostrożnie wezwał go dalszy sąsiad, Pankracy.

— Co się stało? Czego biegaliście, jak lew ryczący!?...

Opowiedział swoją rozmowę z Herodem.

— Rzecz najzwyklejsza... Nie macie się co przejmować!...

— W żadne już rozmowy wdawać się nie będę... Nie chcę!...

— Szkoda. Czasami trzeba mówić, żeby... wyrównać linję... Walczyć lepiej w szeregu...

— Gadać...

— Teraz gadać, a co dalej czynić, naradzimy się. Poco wyprzedzać wypadki?...

— Jakie wypadki?... Co za wypadki?... Mo-

giła!... Śmierć!.. Jakie tu mogą być wypadki?..

— Moi kochani... Ludzie potracili palce u nóg i rąk od szkorbutu, powypadały im zęby, jeść nie mogą... a nie doszli do takiej, jak wy, rozpaczy... nie wyrabiają takich brewerji.. Pamiętajcie, że każdy wasz postępek odbija się na innych..

Umilkł zawstydzony.

— Kto stracił nogę?... Kto jeść nie może od szkorbutu? — pytał za chwilę potym łagodnie, skruszony i przejęty...

— Przedewszystkim nie rozpaczać, nie dręczyć się i nie... rozpaczać... Czyż na wolności nie dzieje się tosamo? Czyż na każdego nie czyha niewiadomy mu los, choroba, śmierć?

— Tam można o tym nie myśleć...

— I tutaj można... Poczekaj, gdy zdobędziemy skórznie i spacery, zażądamy książek...

— Aha, stopniowanie, oportunizm!... Rozumiem! Ale ja zawsze należałem do krańcowych...

— Śmieszną przecie rzeczą byłoby żądać od nich... wolności... uwolnienia! Tego Herod zrobić nie może!

— W takim razie nie żądać nic!

— I rozmyślać w skupieniu o wzniosłych przedmiotach!...

— I rozmyślać o wzniosłych przedmiotach!... — powtórzył Zaremba.

Pankracy uciął. Za to bliższy sąsiad zabębnił tryumfujący i taneczny trel.

VI.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

— Ubierz się i chodź!

Zaremba drżącymi rękami wciągnął na ramiona szary szynel i włożył czapkę. Domyślił się, iż wiodą go nareszcie na spacer. Czekał tego, lecz było to w jego mogilnym letargu tak wielkim zdarzeniem, iż nie mógł opanować wzruszenia i drżał jak w febrze. Znów przeszedł, jak przed paru miesiącami, białawym korytarzem obok szeregu chmurnych wnęków i zamczystych drzwi, cicho brzęcząc umiejętnie już podciągniętymi kajdanami. Czytał przelotnie numery nad drzwiami i migały przed nim niektóre znane mu z fotografji twarze zamkniętych za nimi. W niektórych celach cicho pobrzękiwały łańcuchy. W jednej okropny, suchy kaszel zakończył się bolesnym jękiem. Gdzieś, niewiadomo gdzie, stukanie, ciche, szybkie, jak gorączkowa rozmowa — przebijało się przez szmery. Zaremba spojrzał szyderczo na wydłużoną, złą twarz Bazyliszka z podniesionym kątami ust, jak u węszącego brytana. Szedł umyślnie wolno, aby zatrzymać go jak najdłużej.

— Prędzej! — warknął dozorca.

Zaremba jeszcze zwolnił kroku i wyzywające, pełne nienawiści spojrzenie utopił w szarych, wściekłych źrenicach dręczyciela. Ten mimowoli położył rękę na rękojeści rewolweru; ale już bez uwag doprowadził go do wyjścia, gdzie czekał inny służalec, nieznany dotychczas Zarembie

Zatarg z Bazyliszkiem popsuł humor więźniowi. Gdy wszakże znalazł się na schodkach, nazewnątrz przeklętych murów, gdy błękitne, cudnie wyzłocone niebo szeroko roztoczyło się nad nim, zapomniał o wszystkim, zmrużył olśnione oczy i w upojeniu zamarł bez ruchu

— No, no!... Dalej!... — burknął strażnik.

Pociągnął go za węgieł, gdzie w istnym wąwozie z cegieł, między korpusem ich kazamat i wysokim, głównym murem więziennym ciągnął się brudny szlaczek głęboko w śniegach wydeptanej ścieżki...

— Więc to już zima?... Jakże szybko przeleciał czas?!...

— Zima, zima!... Cóż dziwnego?... Przecież grudzień przekreśliłem już dawno na mym kalendarzu!... Aha, ptak przeleciał... ptak... Za mur, za mur!... Śnieg... Jaka lekkość, jaka czystość, jaka białość!... Puch... puch... Tysiące kryształów błyszczy... perli się, przegląda w rosie zamkniętego wewnątrz powietrza i światła...

— Co za blask!? Jak rznie w oczy!...

Zmrużył powieki i zatrzymał się wyczerpany, rozmarzony...

— Dalej!... Dalej! Nie wolno stać! — krzyczał nań z oddala dozorca.

Zaremba nie ruszał się. Zimne, przedziwnie czyste, upajająco pyszne, bogate i łaskawe, rzeźwiące powietrze tamowało mu dech, jak kaskada chłodnej wody, bijącej z wysoka, rozpierało i rwało mu z bolesną rozkoszą strudzone, zwatlałe w zamknięciu płuca. Otworzył szeroko zawiędłe usta, jak ryba wyrzucona na brzeg i nawpół pijany nie słyszał i nie słuchał wołania... Wirujące myśli, cała zawieja motylich obrazów i uczuć, zburzyły nagle mury, zerwały okowy... Rozbłysnął, rozezdniał przed nim biały, jasny i wesoły świat... Zamajaczał grudniowy las, przesnuty muślinem brylantowych szronów, otulony puchami ciężkich sadzi... Łabędzie rozłogi pól i łęgów nisko rozpostarły się w słonecznej pozłocie... Ubita droga... Po bokach migają weselne widma drzew w srebrnych zbroicach... Po drodze mkną, jak widmo, w zimowych tumanach sanki... Gędźbią uprzęże... Gniade konie, osędziałe i zapotniałe zlekka ponoszą... Ledwie zdoła lejce utrzymać... Już wloką saneczki nie na postronkach uprzęży, lecz na jego rękach...

"Puść pan!... Po co pan je wstrzymuje?!" — szepcze swawolny, miły głos... "Będzie źle, panno Stefanjo, będzie źle!... Proszę potym ze strachu nie krzyczeć!..."

"Niema obawy!..." Impet biegu... Śnieżna kurzawa... wyrzucone kopytami grudy lodowe tną im twarze, miotą się, jak burza gradowa, w oczy i usta, spierają oddech... Dziewczyna chwy

ta go znagła za rękę i przyciska się doń, aby nie wypaść, jak z procy, z polatujących niby jaskółka saneczek...

"Ach jeszcze, jeszcze!..."

— — — — — — — — — — — — —

Nowe wołanie dozorcy... Szybkie, liczne kroki, niezwykły ruch za węgłem więzienia, ocuciły Zarembę. Nawpół przytomny, chwiejąc się, poszedł w stronę wyglądającego na dziedziniec strażnika.

— Co się stało? — spytał głosem obudzonego człowieka.

Dozorca podskoczył ku niemu, wstrzymał go rozkazującym giestem, próbował zasłonić widok własnym ciałem; Zaremba zdążył jednak dostrzec jakiegoś szpakowatego jegomościa w oficerskim szynelu, zbliżającego się do ich korpusu w towarzystwie starszego dozorcy.. Zaciekawiony i cokolwiek wylękły nastawał, aby go zaraz odprowadzono do celi. Twierdził, że mu zimno. Jego stróż opierał się i dopiero, gdy Zaremba sam zrobił stanowczo kilka kroków ku kamiennym schodkom, poszedł przodem, mrucząc przekleństwa... W korytarzu spotkał ich gniewnym marsem zmieszany "starszy"; wyciągnięty służbiście Bazyliszek przymknął zabiegliwie drzwi otwartej celi... W jej głębi omdlewający szept, nużący, zdławiony kaszel i krótkie, dobitne pytania mieszały się w przykrym, podejrzanym djalogu.

— Wiktor?! — pomyślał Zaremba, spojrzawszy na numer. — Co się stać mogło?..

Chciał się zatrzymać, choćby kroku zwolnić, ale "starszy" parł go brutalnie przed sobą.

— Po coś go przyprowadził?! — syczał na straznika...

— Sam przyszedł!... — mruczał ten.

— Sam... jaki skory!... Cóż ty nie wiesz, gamoniu, co wtedy robić?!... Pozwól im tu samym się rządzić... A jakże!...

Bazyliszek powiódł posępnie Zarembę w głąb korytarza i zamknął w celi z hałasem.

— Pankracy! co się stało?... — zastukał Zaremba na swego rozmówcę, nie czekając nawet na odejście klucznika.

Nikt mu nie odpowiedział. Widocznie wszyscy nasłuchiwali u drzwi. Zaremba również ku nim przystąpił i przylgnął uchem do "judasza"... Lecz cela jego była za daleko, rozróżniał zaledwie głuche stąpanie i niewyraźny szmer.

— Co się stało?... Co u Wiktora?... — powtórzył pytanie, skoro głosy znowu ucichły i trzasnęły znacząco drzwi wchodowe.

— Znowu krwotok... Źle!... Poczekaj, niech wypocznie, dowiemy się szczegółów... Byłeś na spacerze?...

Zaremba opowiedział, nie opuszczając najmniejszej drobnostki, swój zachwyt i swoje wrażenia... Nie omieszkał opisać i swego zajścia z Bazyliszkiem.

— Trzeba ich koniecznie przyzwyczaić do stukania. To dla nas kwestja życia i śmierci...

— Jestem tegosamego zdania... Uważam, że już nawet kruszynę przyzwyczaili się... Gorzej,

że wśród nas są tacy dziwacy, czy samolubi, którzy nie chcą stukać i utrudniają innym komunikację...

Po rurze między nimi przesunął się przewlekły szum, jakby ktoś powiódł po niej przyciśniętą dłonią

— Tak zawsze... Nie tylko nie odpowiada, ale jeszcze przeszkadza!... — stukał dalej Pankracy.

Zaremba poczuł za drzwiami "Bazyliszka", ale zdążył mimoto odstukać:

— Daj mu spokój!... My też mu pewnie dokuczamy...

Wieczorem Wiktor wystukał współwięźniom:

— Jestem bardzo słaby... Doktor kazał otworzyć mi łóżko i zapisał mleko... Co za rozkosz!.. Wyleguję się, jak sułtan!

— Trzeba żądać, żeby Herod pozwolił po kolei jednemu z nas czuwać u Wiktora...

— Będzie pytać, skąd wiemy o krwotoku...

— A niech pyta... Dobrze on wie, że porozumiewamy się...

Do późnej nocy trzeszczał więzienny telegraf "Bazyliszek" nie bardzo im tym razem dokuczał... Zato sąsiad Zaremby wprost cuda wyprawiał, hukał po rurze, bębnił, szurgał... Zdawało się, że wściekł się na dobre... Wreszcie o żelazo zakłapały jak gdyby rozjuszone zęby...

— Powiedz, co ci jest?... Wystukaj choć słowo! — prosił go Zaremba.

Głuche milczenie.

I przywidziało się na chwilę Zarembie, że dostrzega za ścianą bladego więźnia z ogoloną twa-

rzą i głową, jak utkwił w mur błyszczące, pełne nienawiści oczy. Odszedł i nie odzywał się już na wołanie Pankracego... Słyszał tylko, jak w dali stukali do siebie inni więźniowie:

— ...Otrząsnąć się trzeba, otrząsnąć z przygnębienia... Walczyć, inaczej wszyscy zginiemy..

— ...A czy ma który nadzieję, iż stąd wyjdzie?...

— Walczyć, walczyć! — szeptał wzburzony młodzieniec. Chodził podrażniony, że nie może się do chóru towarzyszy przyłączyć, i przejęty jednocześnie bezmierną litością dla miłującego milczenie, dręczonego stukaniem sąsiada. Podszedł do pająka, którego dawno już nie karmił, nie pieścił i wziął go na rękę... Owad, jakby obrażony, cofał się i kulił. Z niechęcią odrzucił go z powrotem na pajęczynę. Odwrócił się, oparł czoło o wilgotny, zimny mur i zamyślił, zamyślił o... niedawnym jasnym widziadle.

— ...Minęło... Nigdy nie wróci... Dla innych kwitną kwiaty... My gnojem jesteśmy... mierzwą przyszłości... ci, co po nas przyjdą, będą już wolni i radośni...

Czuł, że łzy wzbierają mu w piersiach. Zmógł się, otrząsł...

— A niech kwitną... Niech będą szczęśliwi — mruknął z rozrzewnieniem.

Nie uśmiechną ci się zdala
Koralowe dziewcząt usta,
Nie zawita ci myśl pusta...

— Powiedz, sąsiedzie. co ci jest?... Odezwij się.. Jedno słóweczko... Ty cierpisz... Jam brat

twój!... Kocham cię!... Podziel się ze mną, a będzie ci lżej... — stukał cichutko, jak najsłodziej i jak najłagodniej, do nieubłaganego sąsiada.

Daremnie czekał. Cisza tam panowała taka, jak gdyby człowiek tam już skonał. Wyczulone ucho Zaremby nie mogło uchwycić nawet brzęku łańcucha, nawet westchnienia. Nie usłyszał też żadnego ruchu i głosu, gdy roznoszono kolację, gdy otwierano na noc ramę łóżka... Zaremba badawczo wpatrywał się w twarz Bazyliszka, gdy ten u niego z kolei drzwi otworzył... Miał nadzieję choć coś zauważyć, coby mu objawiło tajemnicę strasznego milczenia... Lecz maska dozorcy wyrażała zwykłą u niego ku nocy znużoną złość i chłód sennego kata.

Napróżno i Pankracy stukał do Zaremby tego wieczora...

Nagle w nocy z głębokiego snu zbudziło młodzieńca dziwne, przejmujące wrażenie... Posłyszał w rurze szmery nieokreślone, głuche, niby ktoś szeptał nad nią pochylony w rogu... Jednocześnie cichutko, ale z niezwykłą wprawą i precyzją zabrzmiało stukanie — chyże, jak szczebiotanie ptaka, łagodne, jak uderzanie w okno gałązki bzu w dreszczach ciepłego wiosennego podmuchu... Była w nim miara, dykcja i melodja wietrznej, swawolnej piosenki:

Dzień dobry, dziś święty Walenty,
Dopiero co świtać poczyna:
Młodzieniec snem leży ujęty,
A hoża doń puka dziewczyna.

Podskoczył kochanek, wdział szaty,
Drzwi rozwarł przed swoją jedyną,
I weszła dziewczyna do chaty,
Lecz z chaty nie wyszła dziewczyna...

— — — — — — — —

Bezbożność to wielka, Bóg widzi,
Jak wielka w mężczyznach bezbożność,
Cny młodzian się tego nie wstydzi,
Gdy tylko nastręczy się możność...
Wszak niemeś cel życzeń otrzymał,
Przysiągłeś się ze mną ożenić!
I byłbym był słowa dotrzymał,
Lecz trzeba ci było się cenić...

— — — — — — — —

Przerwa. W rozespanym mózgu Zaremby budziły się dalekie wspomnienia niewyraźne zarysy, wypływały opornie barwne, nęcące i przeraźliwe zarazem złudy...

Czyliż on już nie powróci?
Czyliż on już nie powróci?
Nie, nie, on śpi w grobie;
Zaśnij i ty sobie.
Już on nigdy nie powróci...

— — — — — — — —

Usiadł, otworzył szeroko pełne grozy oczy... W grubym zmroku celi coraz wyraźniej zarysowywała się postać kobieca. Płynęła powietrzem w powiewnych, białych szatach... Kwiaty miała na ręku i wieńce z kwiatów na ramionach, na skroniach, na młodych piersiach, na rozpuszczonych ślicznych włosach... Małe usta uśmiechały się smętnie, cie-

mne oczy patrzały przepaściami bez źrenic... Widmo śpiewało:

— — — — — — — — — — — — —

On zmarł, znikł z naszego grona;
Zmarł, opuścił nas;
U nóg jego darń zielona,
W głowach zimny głaz...
— — — — — — — —
Na całunie kwiat;
Wierne ręce go posłały
Za nim w lepszy świat...

— Ofelja!... Ofelja!... — szeptał. — Czy to ty?! Wsparł się rękami na kolanach, pochylił naprzód, oczy wyszły mu z orbit, krótki włos zjeżył na ogolonej głowie... Nie rozróżnił już dobrze, czy widmo śpiewa, czy sąsiad stuka, czy sam on szepce:

Młodzian snem leży ujęty
Hoża puka doń dziewczyna...

. . . .

Zwolno postać pobladła, zamgliła się, uśmiechnęła smutno i wsiąkła w ciemności, w przeświecającą z poza nich ścianę, jak obłoczna plama... Serce jego rwało się ku niej... Pragnął, aby została, aby mówiła...

Nie usnął więcej tej nocy.

Nacisnął na głowę koc i w tym podwójnym mroku zmagał się strasznie z szalejącą w nim burzą, z podmuchami krwi gorącej, przelatującymi bolesnym dreszczem po jego młodych, spragnionych życia członkach...

Nasłuchiwał pilnie, czy nie ozwie się okropny, przejmujący i czarowny stuk sąsiada... Pragnął go, czuł, że przyniósłby mu ulgę... Wreszcie zaczołgał się sam, niepostrzeżenie, jak wąż, do rury i zastukał lękliwie na Pankracego... Nie odebrał żadnej odpowiedzi... Milczenie głuche, śmiertelne, sączyło się z murów... Wszystko spało... Nawet Bazyliszka nie słychać było na korytarzu... Czasem przeleciał jeno do jęku podobny brzęk kajdan, poruszonych we śnie...

Legł z pulsującymi skroniami... Lęk, niepokój i słodycz okrutna rozrywały mu w piersiach serce, pełne po brzegi spiekłej krwi... Szczękał zębami i zmartwiałymi oczyma wpatrywał się w bielmo okna, wyczekując świtu... ulgi... zmiany... dnia...

VII.

— Czy stukałeś w nocy, sąsiedzie?... Odpowiedz, proszę... Choć jednym uderzeniem odpowiedz! Muszę wiedzieć koniecznie... Sąsiedzie! sąsiedzie! Bądź dobry! Czy stukałeś w nocy?...

Daremnie pytał, daremnie uchem i całym ciałem gorącym do muru przylegał — mur był zimny, niemy i chropawy, jak groźny wiszar skalny.

Dzień cały chodził Zaremba w kółko po celi, obłędnie...

— Więc wszystko było przywidzeniem?!... Więc to to? więc to początek końca?!

Stawał u krawędzi zawrotnej otchłani, w którą nie miał odwagi spojrzeć... Gdzieś tam w oddali przewalały się ciemne wiry, w których miał zgasnąć za życia... Dreszczowe macki wychylającej się stamtąd meduzy dotykały mu raz w raz piersi i grzbietu... A jednocześnie tlił się we krwi i buchał czerwienią płomieni żar samowładny... Mięśnie i nerwy drgały, jak struny harfy, na których oparła się dłoń upalna i pożądliwa... Odpychał od siebie i pragnął jednocześnie, obawiał się i marzył... Ujrzeć, raz jeszcze ujrzeć jej postać uroczą, wykwitającą z ciemności, jak biały kielich niepo-

kalanego kwiatu... Upić się czarem smętnego uśmiechu... Zawisnąć spojrzeniem na drobnych ustach, pobladłych, jak płatki opadającej róży...

— Więc to tak!?... Więc to tak?!... A może nieprawda?! Sąsiedzie... sąsiedzie!... Odpowiedz!

Sąsiad milczał, jak zwykle. Natomiast Pankracy stukał wielekroć.

— Co się stało? — Dlaczego nie odpowiadasz? Może już gardzisz sobą i mną i światem całym?... Może stałeś się realistą i ugodowcem? Może upadłeś nareszcie do pożądań skórzni pod kajdany?... Marzysz o czytaniu umoralniającym?... Łykasz ślinkę na myśl o Żywotach Świętych, o katechizmie lub nawet... o zwykłym modlitewniku?... Odpowiedz, przyjacielu... Będzie ci lżej!... Będziemy razem śmiać się wesoło i szydzić z wrogów naszych! — prosił pieszczotliwie, zupełnie tak samo, jak wczoraj Zaremba prosił sąsiada.

Ale Zaremba z krzywym uśmiechem słuchał jego stukania... Nie miał najmniejszej ochoty mu odpowiadać. Przeciwnie, czuł cierpką radość, że ktoś tam cierpi i niepokoi się z jego powodu, i chciał radość tę i rozkosz bolesną zwiększyć i przedłużyć...

A gdy zapadać zaczęła noc, słodki bezwład na dziei i oczekiwania odebrał mu resztkę myśli i sił...

— Przyjdzie, czy nie?... Przyjdzie, czy nie? — szeptał prawie głośno i toczył oślepłym wzrokiem po stojącej na stole strawie, po ścianach, kra-

tach... po dozorcy, który wszedł, by łóżko otworzyć, i zerkał nań podejrzliwie...

Wybuch światła elektrycznego, drżący, księżycowy, jak Jej szaty, wzburzył go... Posępnie wtulił się w kąt, pragnąc ukryć swą więzienną szkaradę... Ponowne, wielokrotne wystukiwanie Pankracego drażniły go, jak obecność natręta na schadzce. Skupionym, jak świder, słuchem łowił jeno głuche, dziwaczne szmery w celi sąsiada.

Tam jakgdyby ktoś błąkał się, chodził, deptał oszalałymi rękami po ścianie... To nagle dyszał, chrapał niziutko w samym kącie u zimnej podłogi... To szmerał drapieżnie po tynku cienkimi paznokciami... To zataczał rozwarte, potoczyste obłęki — chybkie ruchy rozmachniętych skrzydeł... To tarł się płasko i szeroko o cegły, niby rozjuszony dzik... To pieścił ściany muśnięciami dłoni, lżejszymi od sennych rozkochanych dotknięć.

Raz wydało się Zarembie, że stuknął, więc odpowiedział mu natychmiast, że gotów słuchać. Lecz było to widoczne omamienie, gdyż po nastałej na chwilę ciszy dawne rozpoczęły się szmery... Od czasu do czasu ciężkie uderzenia pięści robiły wrażenie, że ktoś mocarny drze ku niemu niezmordowanie, przez skalne zwały, roztrącając opoki i spychając głazy...

Aż zgasło światło i wszystko ucichło. Gorący dreszcz nadziemskiej rozkoszy przebiegł jak piorun po członkach Zaremby... Wstydliwie naciągnął po samą szyję swój koc i leżąc wsparty na ręku, liczył sekundy uderzeniami porywczo ściskają-

cego się serca... Oczy rozżarzone utkwił w ciemności i czekał... czekał...

Nie znał, co to jest niepewne oczekiwanie na ukochaną i chwilami wydawało mu się, że umiera...

— Przyjdź!... przyjdź!... — szeptał. — Ukaż się nie na dłużej chociaż, niż cień obłoku!..

Ciemności falowały, zwijając się, krążyły... Już, już biały opar zbierał się w nich, zsiadał, skraplał, krystalizował... Już czuł Zaremba w piersiach przeszywający puginał spotkania... Lecz nielitościwy wir mroku znowu rozbijał znagła, rozpylał i chłonął do znaku djamenty świetlane...

Wtedy w gniewie uderzył o mur.

— Ty, łotrze, pukaj nareszcie! Pukaj, przebrzydły morderco!... Pukaj!

Zachowywał się tak głośno, że "judasz" odsunął się i znowu zabłysło nad nim światło elektryczne A więc wciągnął na głowę cuchnący koc i z wytężeniem nadludzkim zaczął grzebać w rumowiskach pamięci..

Hamleta czytał raz tylko we wczesnej młodości, potym również raz widział go w teatrze.

Gdzieś na dnie mózgu, w najskrytszych zakątkach czaszki wyczuwał ledwie małe drobiny pożądanych obrazów. Mozolnie wydobywał je z rdzy, pleśni i kurzu, natrzęsionych życiem. Oczyszczał skrupulatnie rozważaniem, omywał wyobraźnią, jak drogocenne perły. Wreszcie składał razem niby czerepki rozbitej, ukochanej mozaiki, nawlekał wyrazy na jedną nić, jak cudowny naszyjnik z drogich kamieni... Miał ich jednak zbyt mało, zbyt luźne

były i rozprószone, zbyt wielkie między sobą miały odstępy...

Usnął znużony, beznadziejnie smutny, lecz obudził się nazajutrz nadspodziewanie rzeźki i zdecydowany. Pozyskał cel...

Znów zajęcia codzienne, znów zaniedbany pająk i to, co działo się na korytarzu, nabrało dlań waloru i znaczenia... Pilnie przysłuchiwał się, kogo wyprowadzano na przechadzkę, co robi dozorca, o czym stukają towarzysze, i z najmniejszej przerwy, z najmniejszej okazji korzystał, aby zarzucić Pankracego tysiącem celowych, podstępnie obmyślanych pytań...

— Więc nie gniewasz się? — ucieszył się ten, gdy Zaremba po raz pierwszy do niego zapukał. — Myślałem, że dotknąłem cię niewczesnymi żartami!

— Ależ nie!... Wczoraj byłem znużony... W dodatku ten sąsiad... Słyszałeś, co on wyrabiał przeszłej nocy...

— Spałem, ale mi mówiono, że stukał coś niemożliwie długiego.. . Czy powiedział ci wreszcie swoje nazwisko?...

— Nie.. Wyobraź sobie: on stukał urywek z Hamleta!...

— Z Hamleta?... I nic więcej?!

— Nic. — I wiesz co, zaciekawił mię niezmiernie.. Czy znasz Hamleta?... Czy widziałeś go w teatrze?

— Owszem, kilka razy... Po co ci to?...

— Usiłuję go sobie przypomnieć... Może pamiętasz jaki urywek?...

Pankracy długi czas nie odpowiadał.

— Dobrze. Spróbuję! Zdaje się, że najlepiej pamiętam monolog... Deklamowaliśmy go w młodości za pięknych dni Aranjuezu...

— Czyj? — spytał ze drżeniem Zaremba.

Ale Pankracy znów umilkł. Wyprowadzono go na spacer. Potym krótko odpowiedział, że powie wieczorem, gdyż Bazyliszek...

Istotnie Bazyliszek coś zwęszył i latał po korytarzu, jakby połknął blekotu. Zaremba wątpił, aby nawet wieczorem udało mu się cokolwiek dowiedzieć.

Gdy jednak zapadł mrok, Pankracy zawołał go:

— Słuchaj!...

Być albo nie być, to wiekie pytanie.
Jest li w istocie szlachetniejszą rzeczą
Znosić pociski zawistnego losu,
Czy też stawiwszy czoło morzu nędzy,
Przez upór wybrnąć z niego?
Umrzeć... zasnąć...

Urwał.

Wzdłuż ścian nazewnątrz przepełznął wąż-dozorca i aksamitnymi ruchami odsuwał po drodze okienka.

— Dalej! — niecierpliwił się Zaremba, gdy kroki oprawcy ucichły.

— Dalej... nie pamiętam...

— A... o... Ofelji!... Coś o... Ofelji?...

— O... Ofelji?!... Nic, nic nie pamiętam!

Znów długo nie odpowiadał, wreszcie zastukał łagodnie...

— Wiesz co: lepiejbyś przypomniał sobie... jakie formuły matematyczne... albo trochę z astronomji... Doprawdy... To lepsze dla zabicia czasu!

Zaremba odsunął się od ściany i już więcej nie stukał dnia tego.

Nazajutrz od rana przemyśliwał, jak wycisnąć z tych więżących go kamienisk to, co mu teraz potrzebniejsze było nad życie: jak wyrwać, wydostać wiadomości z gardzieli potępieńca, co mieszkał obok?

Machinalnie spełnił robotę oczyszczenia i wymiecenia celi, machinalnie odbył przechadzkę, tak, że nie był w stanie przypomnieć sobie, czy śnieg dziś prószył, czy słońce świeciło na dworze?... Wszystko co czynił, wydawało mu się czymś pośrednim, względnym, pomocniczym, co niby zwiewna woalka, ukrywało istotną treść, rzecz samą w sobie, przenikliwą, niepokalaną duszę, nieskruszonego, tajemnego dążenia. To próbował jak "jogg" indyjski wysyłać wolę swą w pościg, narzucać ją niewiadomym, przenikać przez kraty, przez żelaza, skroś opon kamiennych. To wierzył, to wątpił... Szeptał rozkazy niedostrzegalnym ruchem warg stężałych na zaciśniętych szczękach...

Więc się nie dziwił, gdy o szarej godzinie Pankracy zastukał niespodzianie:

— Dobra nowina, towarzyszu! Dałem znać innym o twoim zamiarze... Owszem, projekt podobał się... Obiecali pomóc... Może wspólnymi siłami uda się odtworzyć nawet cały dramat... Wiktor lubił...

Musiał przestać, gdyż przeklęty Bazyliszek już zalał go potokami elektryczności i, odemknąwszy klapę, głośno wymyślał, aż rozlegało się po całej kazamacie...

Praca szła bardzo mozolnie, ale wniosła wielkie ożywienie wśród więźniów. Wszyscy wzięli w niej udział... Każdy starał się coś przypomnieć, naprowadzić drugiego, napomknąć... Nawet umierający Wiktor wystukiwał osłabłą ręką całe djalogi. — Wielki miłośnik sceny, w czasach studenckich wieczny mieszkaniec paradyzu, wiedział najwięcej... Nie zawsze jednak udzielał się... Niekiedy cichym trzykrotnym pukaniem dawał jedynie znać, że żyje jeszcze...

Wszystkie wiadomości przez Pankracego niby przez cewkę spływały do Zaremby, który przez ten las sprzecznych nieraz wyrazów, błędnych szczegółów, przez mgławicę niedomówień, szedł niezmordowanie, zapatrzony w swą gwiazdę... Wypytywał się, sprawdzał, uczył się na pamięć, trudniejsze miejsca zapisywał drobniuchno na ścianie dawniej zdobytym rylcem... Poczym w upatrzonej chwili o zmroku głośno wystukiwał innym odtworzone ustępy...

Dzień cały to tu, to tam potrzaskiwał więzienny telegraf... W zachowaniu się więźniów przejawiła się jakaś dobroć radosna, ustępliwość pogodna, która przeraziła swą niezwykłością dozorców... Bazyliszek denuncjował o tym dyrektorowi:

— Coś knują, jaśnie panie, coś knują!... Może ucieczkę...

Dyrektor uśmiechał się lekceważąco.

— Może bunt nieprzewidziany... Wszystkiego po nich spodziewać się można...

— Złap, a już ja zrobię porządek!...

Gruby nie mógł dać sobie rady, zrozpaczony, co chwila wołał "starszego" i straszył żołnierzami.

Więźniowie szyderczo milczeli...

— Który?... który?... — dopytywał się groźnie "starszy".

— Wszyscy!...

— Ee!... Głupiś! Niepotrzebnie tylko niepokoisz zwierzchność!...

Bazyliszek przyczaił się; udawał, że nie zwraca już wcale na stukanie uwagi...

Robota tymczasem szła coraz raźniej... Pankracy skarżył się na nagniotki w palcach i wyrażał obawę, że wkrótce przedziobie dziurę w rurze ogrzewalnej i wywoła nowy potop gorący... Zarembie wrócił dawny spokój... Wypracował całą metodę odtwórczą i stosował ją z systematycznością uczonego... Ale serce, obłąkane serce uderzało mu zawsze płomieniem, gdyż zbliżał się... Już drugą opracował scenę...

Sąsiad przywarował. Nie przeszkadzał im, nie dawał znaku życia... Chwilami Zaremba myślał, że go niema, że go wywieziono. Lecz co rano drzwi jego celi otwierały się jak u innych, szastały się po podłodze szczotki, w obiad podawano tam naczynia, wieczorem otwierano łóżko... Więc był tam ktoś?... Dlaczego nawet kajdany nie brzęczały?... Widać nieszczęśnik dnie całe przesiadywał skurczony bez ruchu gdzieś w kącie, jak to umiał

robić i Zaremba i każdy z nich . . Zostawili go w spokoju.

Ale raz, gdy najzacieklejsza odbywała się "telegrafja", dziwak uderzył niespodzianie w ścianę i poszurał gwałtownie, co oznaczało żądanie ciszy... Przerwano rozmowę... Wtenczas w niezmiernej cichości zatętniły ciosy o ścianę, dźwięczne i głośne, jak uderzenie kilofa. Słyszeli je wszyscy:

. . . . bo któżby
Ścierpiał pogardę i zniewagi świata,
Krzywdy ciemięzcy, obelgi dumnego,
Lekceważonej miłości męczernie,
Odwłokę prawa, butę władz i owe
Upokorzenia, które nieustannie
Cichej zasługi staje się udziałem,
Gdyby od tego kawałkiem żelaza
Mógł się uwolnić? Któżby dźwigał ciężar
Nudnego życia i pocił się pod nim,
Gdyby obawa czegoś poza grobem,
Obawa tego obcego nam kraju,
Skąd nikt nie wraca, nie wątliła woli,
I nie kazała nam pędzić dni raczej
W złym już wiadomym, niż, uchodząc przed nim,
Popadać w inne, którego nie znamy...
Tak to rozwaga czyni nas tchórzami;
Przedsiębiorczości hoża cera blednie
Pod wpływem wahań i zamiary, pełne
Jędrności, zbite z wytkniętej kolei,
Tracą nazwisko czynu... Ha, co widzę?
Piękna Ofelja!... Nimfo w modłach swoich
Pomnij o moich grzechach...

— Ofeljo!... — jęknął, bledniejąc, Zaremba. — Ofeljo!...

Wsparty rękami i czołem na murze, słuchał przejęty, wpół przytomny... choć stukanie już ucichło i słychać było zamiast niego w celi sąsiada

gwałtowne, krzykliwe głosy... choć elektryczność dawno już zapłonęła nad nim, odemknęła się we drzwiach klapa i szczekający głos Bazyliszka obrzucał go potokiem obelg.

— Wywłoko!... Kundlu buntowniczy!... Przestaniesz?... Już ja ci wygodzę!... Czy przestaniesz nareszcie!? Ani dnia, ani nocy spokoju! Wstawaj, bo strzelę ci w łeb, jak psu!...

Błysnął rurą rewolwerową w otworze. Gdy wszakże przytulony do ściany Zaremba nie ruszył się, dozorca klapę z wściekłością zatrzasnął i sunął ku wyjściu. Za chwilę brzmiał alarmowy dzwonek, korytarz napełnił się ludźmi.

— Bunt... stuuka — ją!

— Kto?... Co?...

— Tych dwuch...

VIII.

Stukanie umilkło.

Zaremba słyszał, jak wpadli do jego sąsiada, jak szamotali się z nim, jak ten ryczał jak dziki zwierz, a potym rzężał, gdy wlekli go ku tajemniczym drzwiczkom w końcu korytarza. Następnie z hukiem rozwarły się wrzeciądze jego własnej celi. Gromada ludzi z najeżonymi wąsami, z zębami błyskającymi z pod rozpylonych warg, z wytrzeszczonymi białkami oczu... Nim słowo rzekł, rzucili się nań, chwycili za ręce, za łopatki, przyparli do muru...

— Tu... tu!... Dawaj!... Trzymaj!... Prędzej!... — wołali, sapiąc.

Opinając na zapięściach łańcuchy, wykręcali mu niepotrzebnie, niemiłosiernie dłonie i ramiona, że trzeszczały w stawach piszczele. Wreszcie powiedli go, popychając przed sobą pięściami zaciśniętymi i ledwie hamującymi się do razów.

Mał drzwiczki stały otworem. Postawiona na ziemi świeca słabo rozświetlała poczynającą się za progiem ciemność. Majaczył tam ostry kant ponurego, czarno malowanego zrębu. Podczas gdy pa-

chołek więzienny, zgarbiwszy się w niziuchnym wejściu, dał nura w głąb ciemnicy z kubkiem w ręku i kawałkiem razowca pod pachą. Zaremba dosłyszał gdzieś z boku urywaną, przyduszoną mowę i żałosne jęki. Lecz nie zdążył głowy w tę stronę odwrócić, jak, przygięty, do ziemi i potrącony, wpadł w otwór.

Była to wielka skrzynia, niezmiernie, jak mu się zdało, wysoka, lecz tak wązka i krótka, że można w niej było jeno stać lub siedzieć. Wyciągnąć się nie było sposobu. Gruby mrok otulał go szczelnym, nieprzeniknionym worem. Omackiem odszukał śmierdzacy kubeł, kromkę chleba i blaszany dzban z wodą. Wtulił się w kat, skute ręce na kolanach położył i wytężył słuch. Zdala, jak gdyby z przepaścistej głębi, przetkanej gęstym splątanym lasem, dobiegło go niemowlęce rytmiczne kwilenie. Ktoś śpiewał hymn wolności i zwycięstwa. I padła pieśń mu na piersi, jak iskra na proch. Wstrząsnął się, serce uderzyło jak dzwon, przejął go chłód rozkosznego dreszczu i ze zwątlałego od długiego milczenia gardła wyrzucił tęsamą wyzywającą pieśń.

Długo śpiewał. Wreszcie zwalił się skronią na twardą ścianę i usnął.

Obudziła go nieznośna drętwica w skutych rękach. Nie mógł wstrzymać głośnego jęku. Bolała go głowa, bolały kości, język opuchły i skołowaciały, jak knebel, wypełniając mu usta płonące od żaru... Ostrożnie odszukał dzban z wodą. Ciemności stały się z czarnych rudawe. Miał wrażenie, że rozróżnia z gruba zarysy kubła. Podniósł oczy i z radością dojrzał szereg otworków,

przez które sączyło się brunatne światło, jak zaćmione szarugą gwiazdy...

— Aha, nie udało się!... Nie mogli!... — rozważał tryumfująco.

Potym słuchał długo, pilnie, z utęsknieniem i próbował stukać. Walił w drzwi piętą co siły, ale ciosy wsiąkały w grube bierwiona, bez echa, jak uderzenia kamienia w błotny mech. Otwarły się wprawdzie na chwilę drzwi na korytarz, ale rychło zamknęły. Duszna, nienaruszalna cisza przygniotła go; próbował śpiewać, ale głos z krtani dobył się brzydki, ochrypły, wymuszony...

— Towarzyszu, towarzyszu!... — wołał.

Cicho. Może go zabrali i on został sam jeden... Zostanie tu pewnie na długo... na zawsze!? . Kto im zabroni?. . A co robią tamci?... Co robią tamci!?... Nic nie słychać!...

Opadły go roje myśli gorzkich i niegodnych. Bronił się im, odganiał precz, jak sforę dokuczliwą kundysów. Aż padł na "Hamleta" i słowo po słowie zaszeptał:

Nie, pierwej sam mi odpowiedz!...
Stój, wymień hasło!
        Niech Bóg broni króla!
Bernardo?
        Ten sam..."
"Kto tu?

Cudny poemat był mu osłodą i ucieczką.. Był mu puklerzem, zbroja twardą i niepożytą. . Był mu druhem miłym, co wiódł go nieczułym przez boleści i marności czasu bieżącego... Był mu podporą, był ostrym mieczem, którego rękojeści nikt

mu wydrzeć nie zdoła... Chyba sam złamie go lub ukróci!...

Wzdrygnął się. Mglisty cień "sąsiada" przesunął się w pomroce.

"Już rzeczy moje zniesiono na pokład:
Bądź zdrowa, siostro! A gdy wiatr przyjaźnie
Zadmie od brzegu i który z okrętów
Zdejmie kotwicę, nie zasypiaj wtedy,
Lecz donoś mi o sobie...
Wątpisz o tym?

Co się zaś tyczy Hamleta i pustych
Jego zalotów, uważaj je jako
Mamiący pozór, wynikłość krwi wrzącej...

Jako fiołek młodocianej wiosny,
Wczesny lecz wątły, luby lecz nietrwały,
Woń, kilka tylko chwil upajającą...
Nic więcej...
Więcej nic?...

Przyszła... Przyszła, niosąc w rysach i ruchach czar, rodzący tęsknotę nieukojoną... Przyszła w obłokach kwietnej woni... w powiewnych lekkich szatach, poprzez które świeciło śliczne jej ciało, niby różowy płomień, zamknięty w alabastrach... Przyszła z cichym, łagodnym szeptem upragnionych ust... Siadła na wezgłowiu i oparła mu na czole dłoń pachnącą i przejrzystą, jak alpejska róża, świeżą — jak rosa letnia... Pochyliła nad nim perłowe lica i utopiła mu w oczach otchłanne, załobne źrenice...

— — — — — — — — — — — — —

Od wieków szłaś już ku mnie z głębiny istnienia...
Szłaś przez czasów łańcuchy, przez światów ogromy,
Aż spłynęły się w jedność złotego promienia
Rozsiane w wielu duszach naszych dusz atomy...

W gwiazd drogach żyłaś dla mnie w dalekim
wszechświecie,
Unosiły Cię burze w swym wartkim oddechu,
Umierałaś co wiosna w każdym zwiędłym kwiecie
I rodziłaś się w każdym dziecięcym uśmiechu ..

Dziś dotykam Cię!... Jesteś! Oczy Twoje widzą,
Usta ust mych szukają, pierś drży i oddycha,
Objęcia Twoje pragną, boją się i wstydzą,
Dłoń Twoja mię przyciąga i znowu odpycha...

Kocham Cię! W nikłym splocie tych ulotnych
dźwięków
Słychać rozkazów groźnych niepożyte moce,
Śmieje się dreszcz rozkoszy, budzą echa jęków,
Nowe słońca powstają i giną w pomroce...

W nowe liście stroją się obumarłe drzewa,
Kryształ stale w kochane układa się kształty,
Gdzieś w mgławicach ruch w nową świadomość
dojrzewa
I skupia się w uczucie duch na proch roztarty...

Myśmy się na to z Tobą spotkali, kochana,
I złączyli na krótką szczęścia błyskawicę,
Aby w rozstaniu naszym potęga nieznana
Wzrosła o jedną więcej słoneczną... tęsknicę...

Gdy po trzech dniach wypuszczono go nareszcie z ciemnicy, wyszedł z twarzą bladą, jak chusta, z podbródkiem i czaszką szkaradnie okłaczonymi odrosłym włosem, ze spojrzeniem, w którym niepomiernie rozszerzone źrenice otwierały się, jak dwie wypróchniałe dziuple...

Bazyliszek cofnął się mimowoli przed nim i krzywy skurcz przeleciał mu po gębie. "Starszy" zmierzył go zyzem, wypiął wargę i pokiwał znacząco głową.

— Wiktor umarł! — krótko i niezmiernie cicho wystukał jeszcze dnia tego Pankracy.

Sąsiad już był w swej celi. Brzęczał łańcuchami, mruczał i chodził.

IX.

W kazamacie zaległa skupiona, pogrzebowa cisza. Zaremba nie odchodził od drzwi i, przyłożywszy ucho do "judasza", łowił do dna zmąconą duszą najmniejszy głos, najlżejszy szmer. Gdy liczne obcasy zatupotały w celi Wiktora, wydało mu się, że depcą one po jego żałości pełnym sercu. Nie znał tego człowieka, a mimo to wyraźnie widział twarz jego, źle ogoloną, zczerniałą, wychudłą, podobną do jego własnej twarzy, odbitej ongiś w zwierciedle wody... Widział, jak zachodzące bielmem oczy szukają poraz ostatni nadaremno wśród pustych, szarych murów ludzkiej, przyjaznej postaci... Wspominał dobroć zmarłego, jego żywy do ostatka udział w odtwarzaniu Hamleta, udział we wszystkich kłopotach, troskach, bolach i radościach towarzyszy... jego wesołe żarty, jakimi krzepił ducha słabnących... Odszedł nieznany, gdyż nikt z więźniów nie znał, jak się okazało, jego oblicza..

Gdy coś ciężkiego przenoszono hałaśliwie wzdłuż karytarza, domyślił się Zaremba, że to ciało nieboszczyka i z palącą gorączką przysłuchiwał się: czy brzęczą kajdany? Czy oswobodzono na-

reszcie te trupie, cienkie piszczele z łańcuchów? Czy też legły one razem z nimi na dnie trumny, jak stygmat wieczystej niewoli...

— Tak wszyscy będziemy! Hańba synom człowieczym! — szepnął.

Mroźny, granitowy jakiś spokój zastąpił w nim niedawne wzburzenie.

— Co tak cicho?... Dlaczego nie odpowiadają? Polękali się, czy co?...

Zastukał mocno, wyzywająco na Pankracego.

— Co? — zaputał ten po długim czekaniu.

— Czy dopuszczono do niego przed śmiercią kogokolwiek?

— Z naszych nikogo. Był podobno więzienny duchowny...

— Wywlekli go jak psa... Słyszałeś?

— Słyszałem.

— Co poczniemy?...

— Dziwny jesteś: cóż możemy począć?...

— Wszystkich nas czeka to samo...

— Zapewne. Może nawet gorzej.

— Proponuję rzucić się na straż... Uciekać...

— Rzucić się na straż? Oszalałeś?... Któż się rzuci?... Ty?... Z twoją nogą kulawą od rany?... Albo ja, który sam się ledwie dźwigam i co dzień próbuję, który z zębów dziś wypadnie mi z gnijących dziąseł?... Większość jest w takim stanie... A zresztą: wyrwiemy się z kazamatu, a co dalej... Tam żołnierze... Mur na 20 stóp wysoki... Bez pomocy z zewnątrz niepodobna.... A komunikacji żadnej...

— Trzeba jednak coś przedsięwziąć...

— No!... no!... Dość!... wiesz pan, że niewolno... Proszę przestać... I mnie za to nie pochwalą!... — zagadnął Grubas, otwierając niespodzianie klapę.

Ton głosu łagodny, tytuł "pan" podziałały uspokajająco na Zarembę. W milczeniu odszedł od ściany. Rysiemi oczyma wodził po murach, podłodze i kratach, jakby je oglądał od nowa.

— Aby stąd się wyrwać... A tam co los da!... Można na mur zarzucić sznur, skręcowany z bielizny... Tu za naszym więzieniem straż nie chodzi.. Wyjść po wieczornym roncie — cała noc czasu!... A lepiej jeszcze wykopać tunel aż za mur... nazewnątrz!... Można wyciąć asfalt w podłodze, wyważyć cegły i dostać się pod fundament... Zrobić to należy pod siedzeniem i stołem... Tu najmniej widać i najbliżej do muru... Tylko czym?

Znów rozpoczął badanie celi cal po calu, nie pomijając najmniejszego kącika, najmniejszej szczelinki, wrąbka, załomu... Wszystkie przedmioty obejrzał z niesłychaną, przenikliwą, skupioną i ostrą, jak dziryt, uwagą.

Nic znalazł nic odpowiedniego... Twardy, zwarty dokoła głaz, przeciw któremu miał jeno paznokcie i zęby. Poddał się chwilowej rozpaczy, cisnął się z pięściami na ścianę, bił ją, wodził po niej drgającemi dłońmi, gdy nagle usłyszał z przerażeniem z tamtej strony takie same ruchy... Ochłonął. Z zaciętymi ustami, ze zmarszczoną brwią, ze skamieniałą od wysiłku twarzą znów rozpoczął poszukiwania... Chodził, oglądał, dotykał wszystko po raz dziesiąty i setny. Bał się, że to się stanie z cza-

sem jego manją, jego zmorą, a jednocześnie rozumiał, że to jedyna ucieczka przed czymś jeszcze gorszym, czego widmo stało tuż, tuż za progiem. Nagle wykrył, że żelazne siedzenie jest podparte i przymocowane do ściany grubą, wygiętą sztabą. Wielka, zardzewiała mutra spajała łapę podpory z blatem ławeczki. Wicher myśli gorących i niespokojnych, jak płomienie wzdętego burzą pożaru, zakotłował się w mózgu więźnia. Wstał, oparł się o ścianę w obawie, że zemdleje i roztropnie odłożył dalsze badanie na potym.

— Mam czas! — uśmiechnął się. — Trzeba znów zacząć gromadzić nici na sznur, włosy wydzierać ze szczotki na perukę... Ale jak odkręcić mutrę... Ogromnie mocna i zardzewiała... Przedewszystkim odmoczyć ją należy w ciepłej zupie... Następnie zwolna obluzować uderzeniami kajdanów... Bić w sam kant... Co dzień raz.. parę razy... Mam czas!...

Uśmiechnął się i przeszedł po celi spokojny już i radosny...

X.

Bazyliszek tryumfował. Ostatni najzdrowszy i najniespokojniejszy z więźniów przycichł i spokorniał. Pycha, wzgarda, pewność siebie bardziej jeszcze zaostrzyły ostry nos, ostrą bródkę, konopne wąsy i spiczasty wzrok dozorcy Zadzierał głowę tak wysoko, że widział tylko golone czubki aresztanckich głów; rozkazy wydawał nie słowami już, lecz sierdzistemi ruchami i nieartykułowemi mruknięciami.

— Inaczej nie można! Za grdykę i o ziemię, to zaraz cicho! Znam ja ich! Ho, — pouczał Grubego.

— Też ludzie som!

— Co? Jacy ludzie? Władzy nie uznają, prawo łamią! Dranie som! Na wszystko się targną!

— No tak, prawda! Dranie — zgadzał się Gruby, wylękły o swoją posadę i pensję. Zwolniony z dyżuru, uciekał co rychlej do domu, mrucząc:

— Też... zmora!

Bazyliszek był niestrudzony. Nigdy nie spóźniał się i nigdzie nie spieszył. Jak wahadło chodził po korytarzu i jak motyl nocny zapuszcza w kwia-

tów tajnie swe żądło, tak on zapuszczał pożądliwe oko do coraz to innego "judasza".

Więźniowie wciąż czuli na sobie jego jaszczurcze spojrzenie, a pod sobą jego nietoperze skrzydła. A on już żyć nie mógł bez rozkosznego widoku tych pojedynczo zamurowanych w kamiennych odołkach nieboszczyków, gnijących w jego oczach... niezbyt szybko i niezbyt wolno, lecz według... regulaminu.

Ożywienie, które go do niedawna oburzało, zgasło, stukanie ucichło. A jeśli rozległo się jeszcze czasem, to było takie krótkie, nieśmiałe, że... mógł się z nim pogodzić... Polował na nie, lecz napawały go już nie gniewem, ale raczej dumą i uciecha, jak wybrednego myśliwca powabki zwierzyny.

— Zmądrzeli, juchy! — rozmyślał dobrotliwie.

Pewną obawę wzbudzały w nim jedynie głuche, przeciągłe dźwięki, rozlegające się co jakiś czas w celi Zaremby. Nie mógł dociec, co one znaczą i nie mógł schwytać więźnia na uczynku. Gdy rewidował celę w czasie jego spaceru, wszystko znajdował w porządku, zaś pytać się uważał za niestosowne i bezskuteczne.

— He! Bawi się! Niech się bawi, aż go "ustukam!"

I nagle w tej niemocie tryumfującej, w tej żywej śmierci, w tym bezgłosiu pobitych i konających zabrzmiał pewnego wieczoru śpiew... wolności! Spiżowy hymn wyzwolenia...

Śpiewał sąsiad Zaremby. I bynajmniej nie krył się z tym, przeciwnie: usta przyłożył do "judasza" i ryczał, jak bawół. Gdy zdumiony Bazyliszek pró-

bował doń zajrzeć, plunął mu przez otwór w oko... Tego było zawiele. Dozorca otworzył klapę i pchnął śpiewającego tak mocno, że ten potoczył się aż pod ścianę, rychło jednak skoczył napowrót ku drzwiom i chlustnął w okienko wprost w twarz Bazyliszkowi wodę przygotowaną w kubku. Więźniowie, przylepieni uchem do swych drzwi, słyszeli wybornie to chlustnięcie i dziki, okropny śmiech współwięźnia, który przejął ich dreszczem. Klapa zatrzasnęła się, ale śmiech nie ustał... i przeszedł w krzyk rozdzierający, męczeński, wołanie nieustanne a rwące się i wstrząsające, jak przerywany tok wysokiego napięcia...

Zaremba zastukał na dozorcę.

— Czego?

— Co mu robisz?

— Nie twoja rzecz!

— Nie waż się go ruszyć!... Daj zaraz znać do kancelarji!...

Blady z wściekłości Bazyliszek błysnął tylko ślepiami i klapę zatrzasnął.

Całą noc grała więźniom nieludzka orkiestra. Wycie, przeraźliwe chychoty, urywane dwugłosy rozmów, śpiew... potym straszniejsza od nich cisza i nowe wrzaski piekielne, konające wołania o pomoc, histeryczny pisk uchodzącej przed pościgiem ofiary... dzikie charczenie i mamroty zwierzęce... to odchodziły w głąb celi, to zbliżały się ku drzwiom, lecz nie ustawały na chwilę. Nikt oka nie zmrużył tej nocy; usnęli dopiero, gdy dobrze oświtło i ucichł gomon. Rychło wszakże obudzono ich według regu-

laminu. Zaremba, który słyszał, że nie otwierano do sąsiada, był pewny, że go zabrano.

— Gdzie on jest? — spytał półgłosem Grubego, który, blady jakiś i nieswój, okazywał mu szczególną grzeczność.

— Nie wiem... śpi! — odrzekł cichutko dozorca.

— Powiedzieliście w kancelarji?

— Powiedział, powiedział... Kończcie już sprzątać... Zamknę.

Zaremba nie wierzył. Lecz usłyszał później, że podają sąsiadowi śniadanie, że on rusza się tam i pobrzękuje pętami, jak zawsze. To go uspokoiło. Próbował nawet zastukać do niego, ale ten nie odpowiadał, jak zwykle. Zamienił z Pankracym słów kilka.

— Trzeba rozmówić się z Herodem... Trzeba żądać, żeby go zabrali do szpitala...

— Nie uwierzą...

Więcej nie dał im stukać ani "sąsiad", ani Gruby. Gruby użalał się przed niemi, że go swym stukaniem niechybnie zgubią, że dyrektor lada chwila przyjdzie. "Sąsiad" szurał po ścianie i wystukiwał niecierpliwie gamy.

Dzień jednakże upłynął zupełnie spokojnie, zupełnie spokojnie minęła noc. Dopiero nazajutrz po śniadaniu zadudniło u wejścia, więźniowie poczuli, że weszła do kazamatu gromada ludzi i usłyszeli, że ciężki, twardy przedmiot postawiono pośrodku korytarza. Drzwi od celi sąsiada otwarły się. Zaremba posłyszał tam głuchą, krótką rozmowę; potym z odgłosu kroków rozpoznał, że więźnia wyprowadzają... Drżący głos zawołał nagle:

— Bracia!.. Bracia!.. Nie dajcie!...

Szamotanie... upadek... ciche, tygrysie ruchy ludzi... ciężkie oddechy... a potem niezrozumiały świst w powietrzu ... ciachnięcie... przeciągły, stłumiony jęk... znów świst i jęk, który zmienił się w nieustający, łkający pokrzyk..

— Biją! — szepnął Zaremba, czując, jak wszystka krew zbiega mu do serca. Uderzył zdrową nogą we drzwi, że zadrżały w zawiasach, a łańcuchy zagrały mu na nogach, jak dzwony. Po niejakim czasie we wszystkich celach dudniły drzwi i łoskot wstrząsanych łańcuchów zmieszał się z świstem rózeg i skowytem katowanego. Raptem wszystko ucichło... Krótko, dorywczo przebrzmiał niemowlęcy płacz, zgłuszony przywartemi z trzaskiem drzwiami. I znowu cicho... Zaremba wciąż stukał w zapamiętaniu.

— Oprawcy! Lotry!

Nagle zaprzestał. Usłyszał, że tłumnie zbliżają się ku niemu. Cichutko zgrzytnęły rygle, nieznacznie odsunęły się sztaby i drzwi uciekły w tył... w półkolu dozorców i stróżów więziennych stał pan dyrektor...

— Przecież on jest obłąkany... — zaczął Zaremba, łykając łzy.

Dyrektor dał ręką znak; pachołcy rzucili się w głąb celi, schwycili za ręce Zarembę, zacisnęli mu usta i wywlekli na korytarz. Szarpnięty za nogi, upadł twarzą na brudną, ciężką ławę. Na wyciągniętych, jak struna, zapięściach rąk i przystopach nóg, zacisnęły się niezwłocznie pętlice powrozów. Z grzbietu zdarto mu odzież i po chwili stra-

sznego, jak konanie oczekiwania, spadł z świstem nań z góry pęk rózeg... Tysiące płomienistych wężów, noży i kolców wpiło mu się w ciało i mózg. Zaremba wyciągnął się, przypadł do ławy i zagryzł do krwi usta, aby nie krzyczeć... Raz tylko, gdy dosłyszał stukanie współwięźniów, z męką i mocą niezmierną zawołał piorunowym głosem:

— Nie stukać! Nie stukać!...

Przestali go bić dopiero wtedy, gdy ciało jego zmieniło się w jednolitą ranę, gdy kawałki skóry i mięso, wyszarpane łozą, latać zaczęły w powietrzu i lgnąć na ścianach. Omdlałego zawleczono do celi i porzucono na podłodze.

Nikogo więcej nie bito, lecz wszystkich zakuto w ręczne dyby żelazne i wszystkich skazano na chleb i wodę.

Zaremba starał się jak najdłużej nie budzić z omdlenia. Nie otwierał oczu... odpędzał myśli... Jakiś twardy, niepomierny ból, niby pancerz potworny, okuł mu tułów, całe ciało... opierścienił, znieczulił duszę. Obok w celi wył szaleniec, a w rurę gwałtownie stukał Pankracy. Podpełzł ku niej Zaremba i odezwał się:

— Słucham...

— Umrzemy.. wszyscy z tobą... chcesz?

— Nie... ja nie umrę... Nie ucieknę... Niech mnie sami zabiją!

Pankracy umilkł. Zaremba słyszał, jak w dali stukali gorączkowo, porozumiewając się, więźniowie, jak krążył po korytarzu Bazyliszek i zaglądał doń co chwila przez "judasza".

Zaremba leżał twarzą do podłogi, nie ruszał się, krew sączyła się zeń na asfalt i utworzyła tam

czarną kałużę... Przyniesiono obiad... Dozorca otworzył łóżko, Zaremba nie zmienił pozycji... W parę godzin potym przyszedł felczer więzienny...

— Niech pan wstanie... niech pan położy się na pościeli... Doktór prosił i pan dyrektor pozwolił!

Zaremba nie drgnął. Felczer pomacał mu puls, wzruszył ramionami, oczyścił cokolwiek rany z drzazg, z kawałków zmartwiałej skóry i wyszedł.

Pankracy oznajmił Zarembie, że więźniowie postanowili rozpocząć głodówkę. Nic mu nie odpowiedział. Usnał na miejscu jak leżał i nie wiedział, jak się znalazł w nocy na posłaniu. Na plecach miał przylepiony jakiś plaster. Nie mógł już zasnąć. Słyszał, jak obok jęczał sąsiad, jak w dali pokasływali i pobrzękiwali łańcuchami inni. Myśli czarne, otchłanne, jak ta noc, szły odeń w ciemności...

Na samym dnie jaźni, gdzieś poza świadomością rodziły się jakieś postanowienia i wola nieskruszona dawała klątwy palące, bezsłowne...

Nie pozwalał tym uczuciom przekształcać się w myśl, lubował się mglistemi ich majakami, wdychał namiętnie ich zapach okrutny, chował głęboko ich treść, jak owoc trujący, który tym silniejsze daje pędy, im głębiej zostanie zaryty w grudę... Złom na złomie dźwigał granitowe podstawy jakichś przyszłych czynów... Odgadywał, jakie zacz będą, i patrząc szeroko rozwartymi w noc, wspominał życie, z którym się zawczasu żegnał... Mało miał lat... Był jeszcze jako ranek wiosenny... I mało zaznał dojrzałego szczęścia...

Doświadczył jeno pierwokwiatu wrażeń ... przeważnie udręki... Z bólem rozważał, jak dola człowieka bardzo jest zależna od cnót i zbrodni ludzkich. A cnoty te i zbrodnie są jako dżdże i pogody; niespodzianie są jak wichry siekące po sercach... Z jednej strony świat skał nieużytych, albo ogrodów rajskich, gdzie samotny człowiek bytuje na poziomie zwierzęcym. Z drugiej... życie wartkie, bogate, gdzie tysiące nici bliźnich, wrosłych w nerwy, w mięśnie i krew szarpie nieznośnie duszę...

— Być samotnym! — pragnął tom nieraz...

Oto był samotnym i poznał, że niema okropniejszej tęsknoty, jak tęsknota za człowiekiem!... Gdzież są oni? W mękach porodu leją krew i cenniejsze nad krew skarby szlachetnych serc!... Chlepcą je, niby piachy pustyni, niby nienasytne mszarniki leśne — dusze niegodne... Wyrwać je, jak kąkol, zniszczyć je na każdym miejscu, nie szczędząc rąk, nie żałując ginącej pospołu pszenicy... Niech słońce dojdzie do samego łona obnażonej gleby, niech wyprowadzi z ciemnic zagłuszone źdźbła zdrowe... niech ruń, ruń nowa pokryje przeorane szlaki!...

Bardzo mu w zamiarach jego przeszkadzała głodówka. Daremnie jednak próbował odwieść od niej towarzyszy. Zbijali łatwo jego dowodzenia, wreszcie Pankracy zapytał go:

— Sam chcesz coś zrobić! Przyznaj się! Otóż nic z tego!...

Wychudli, zczerniali leżeli na ziemi, gdyż zamykano im łóżka. Niektórzy już nawet nie otwierali oczu. Prosili, żeby nie wnoszono im strawy, nie podawano chleba. Z rozmysłem dostarczano im

smaczniejszego jadła, staranniej ugotowanego. Zapach mocno okraszonej zupy lub kaszy wypełniał zaprzałe cele nęcącym zapachem. Chleb czarny, świeży, zionął smaczny kwas, podobny do zapachu niwy żytniej w parny wieczór letni... Leżały go na stole góry...

Gdy nastawał dzień, wyczekiwali z udręczeniem, rychło się skończy, a zbliżającej się nocy oczekiwali znowu z przerażeniem... W potępieńczej ciszy błyskały nad nimi, od czasu do czasu, jeno dzikie chichoty warjatów... Żałosne skowyty zapuszczały im w mózgi i serca swe ostre, jadowite groty...

Już było dwuch obłąkanych i przekrzykiwali się z jednego końca korytarza na drugi, jak szatańskie kukułki... Bazyliszek przestał się czaić i kryć. Chodził głośno po piekielnym korytarzu i dzwonił kluczami.

Ilekroć wnoszono jadło, gadał:

— Jedz, jedz! Nic nie wskórasz!... Oni przecie żrą! — dodawał złośliwie, kiwając głową w stronę warjatów.

Grubas wzdychał i nic nie mówił. W czasie jego dyżuru usłyszeli po raz pierwszy takie same ciężkie kroki gromadki ludzi, niosących ciężar, jak w dzień śmierci Wiktora.

— Kto? — zastukał Zaremba.

— Włodzimierz!

— Widzisz... widzisz... Nie trzeba!

— Zadalekośmy zaszli... Nie można ustąpić!...

— Należy choć pogadać z nimi, postawić żądania...

— Kiedy nikt nie przychodzi, nie pyta się...

— Więc zawołać!

— Wątpię, czy przyjdzie... W ich interesie jest, aby nas zginęło jak najwięcej...

— Dlatego żądam zaprzestania głodówki...

Nazajutrz wyniesiono drugiego trupa. Zaremba dowlókł się do drzwi i zastukał.

— Żądam doktora... Niech przyjdzie doktór...

Grubas, który był dyżurnym, poleciał natychmiast dać znać, że ten najbardziej zatwardziały więzień przyzywa doktora. I doktór przyszedł.

— Czego pan sobie życzy? — spytał drżącym głosem, nie oddalając się zbytnio od proga.

— Żądamy, żeby zabrano obłąkanych do szpitala. Jak ich wezmą, zaczniemy jeść... Przecież to okropne!... Posłuchaj pan...

Doktór blady słuchał wstrząsającego duetu i wzruszał ramionami.

— Co ja mogę! Doskonale panów rozumiem... Sami dawnobyśmy wzięli... Ale.. dotychczas nie przyszło pozwolenie... Stamtąd...

— Tam śpieszą się tylko z krzywdą ..

Doktór spuścił głowę.

— Przedstawię znowu dyrektorowi... To istotnie okropne, nie do zniesienia!...

Znowu upłynęła noc i dzień. Leon wystukał rozdzierające pożegnanie... Zaremba uniósł się na posłaniu i bił z rozpaczy bezsilnymi pięściami po murze... Sąsiad odpowiadał mu potężnymi uderzeniami. Nawet im oków z dłoni nie zdjęto.

— Teraz na mnie kolej, bracie! Żegnaj! — stukał Pankracy.

— Stój! Jedz! Żyj!... To nie czyn...

— A ty jesz?

— Nie!

— A widzisz!...

— Słuchaj: ja go zabiję! Przysięgam, że go zabiję, ale jedzcie...

— On nie przyjdzie.

— Poczekam...

— Dusza nie może czekać bezkarnie! Zabije nas wcześnie własna pogarda!

— Zaklinam was!

Zaczęły się nowe przetargi i narady. Bazyliszek nie przeszkadzał im wspaniałomyślnie. Miał nowe zajęcie: drażnił warjatów. Wymyślał im i groził ustawicznie. Zaremba słyszał nieraz, jak wołał na jego sąsiada:

— Wyłaź!... Gdzieś się schował, pokrako!?...

Ale raz, gdy drzwi do celi szaleńca otwarły się, rozległ się niespodzianie łomot, szarpanina, potym krzyk straszny, który nawet wycieńczonego Zarembę postawił na nogi... Jednocześnie ktoś chyżo poleciał bosymi stopami wzdłuż korytarza... Trzasły rygle w najbliższej celi, kroki zawróciły ku niemu, wrzeciądze opadły, uchyliły się drzwi i blada ogolona twarz więźnia z wilczymi oczami i wyszczerzonymi kłami wyjrzała, szepcząc z uśmiechem:

— Zabiłem szczura!... Ten sztych wart dukata!... Wychodź!... Zabiłem szczura!.. Chi... hii!... Prra-oo, książę!...

Zaśmiał się jak potępieniec i pobiegł dalej. Za chwilę wszystkie cele były otwarte i ciżba kościotrupich, obdartych mar wyległa na korytarz. Ci, co nie mogli wstać, wypełzli choć na próg, wlokąc

za sobą łańcuchy. Dwaj obłąkańcy, ująwszy się za ręce z chichotem, wymyślaniem, rykiem, z rechotem podciągniętych kajdan, pędzili przez korytarz, kopiąc się i bijąc... Przeskoczyli przez ciało Bazyliszka, który leżał bez ruchu w poprzek drogi. Z roztrzaskanego ciemienia dozorcy wypływała struga krwi i mózgu. Warjaci dopadli do drzwiczek ciemnicy, spróbowali je otworzyć, a gdy nie ustąpiły ich wysiłkom, zawrócili na korytarz i po krótkim namyśle skoczyli do trupa. Schwycili go za nogi, powlekli... Jeden wyrwał mu z kobury rewolwer, puścił się ku leżącym na ziemi więźniom

— Wstawajcie, nicponie!... Dość wylegiwać się!... Cha... ha!... — ryczał.

— Trzeba ich schwytać!... Trzeba ich schwytać!... Rozbroić!... — wołał gorączkowo Zaremba.

Zgraja okutych na rękach i nogach szkieletów opadła dwuch sytych, wzburzonych szaleńców, którzy nadomiar mieli ręce niezakute, gdyż nie brali udziału w proteście. Wszczęła się szatańska, nieopisana walka bratobójcza. Warjat groził rewolwerem; na szczęście bezpiecznik był zamknięty Zaremba niespodzianym uderzeniem zapięścią ręcznego łańcucha wybił mu broń z ręki. Ale wycieńczeni więźniowie rady sobie dać z obydwoma nie mogli; zaledwie przytrzymali jednego, wyrwał się im drugi, podniósł rewolwer i jego rękojeścią zaczął tłuc po głowach walczących...

Słabsi uciekli do cel i wołali tam w niebogłosy o pomoc, lecz grube mury chłonęły ich krzyki bez śladu. Nikt nie wiedział, gdzie jest dzwonek alarmowy. Wkrótce i reszta więźniów musiała się cof-

nąć do cel i, zawarłszy za sobą drzwi, trzymać je z całych sił, aby rozjuszeni szaleńcy nie wdarli się tam za nimi. Jeden z więźniów zdarł jakimś cudem z wychudłych nóg kajdany, cisnął nimi w okno i wybił szybę

— Ratunku!... Ratunku! ..

Na korytarzu tymczasem ucichło. Zaremba wyjrzał, aby przekonać się, co się tam dzieje. Jeden z obłąkanych czaił się z rewolwerem pod ścianą niedaleko od jego celi; drugi okraczył, jak pająk, trupa dozorcy, uniósł do góry jego łeb i gryzł mu czaszkę i twarz, tocząc z gęby pianę z posoką...

W tej chwili drzwi wchodowe otwarły się, na tle słońca zamrowili się ludzie i błysnęły bagnety.

Czający się warjat skoczył jak kot i strasznym ciosem w głowę zamroczył Zarembę...

XI.

Ocknął się Zaremba dopiero w sali dużej i jasnej, gdzie stały rzędami biało zasłane łóżka. Przez wysokie okna o szkłach przeźroczystych wlewała się rzeka błękitu i słońca. W tym blasku do znaku topniały kraty grube i cienie szare szarych, niewesołych ścian.

— Żyjesz więc? — szepnął leżący na sąsiednim łóżku więzień.

— Kto pan jesteś?... Co to wszystko znaczy?...

— Jestem Pankracy...

— Pankracy?!... — zawołał, siadając, Zaremba.

— Cicho. Ruszać ci się nie wolno. Ranił cię w głowę...

— A oni?

Pankracy milczał posępnie przez chwilę.

— Zabici...

— Ach, Pankracy... Pankracy!... Przecież to będzie prawie... połowa nas... Połowa poległa!... — wyszeptał Zaremba i upadł na poduszki, płacząc, jak dziecko.

Szkielet zsunął się ze swego łóżka i umieścił się koło niego na pościeli...

— Uspokój się, uspokój! Cóż robić?... Los... los!... Zawsze to zwycięstwo!... Zginęlibyśmy tam wszyscy... Tutaj patrz: wszyscy... pozostali... wszystkich nas pomieścili... razem... Rozumiesz: razem!

Wskazał chudą, jak piszczel, ręką na wyschłe, straszne czerepy, które uniosły się z poduszek i ciekawie patrzały na nich zapadłymi oczodołami.

— Mamy słońce... mamy jedzenie dobre... mamy książki!... Patrz!

Mignął mu białą bibułą przed twarzą.

— Obchodzą się z nami... po ludzku!...

— Więc myślisz, że już nas nie zamkną?

— Zamknąć zamkną... Napewno zamkną... Może nawet sąd będzie... Ale wypoczniemy, nabierzemy sił.. A walka, to zdolność do przeczekania, przetrwania... Przecież i tam toczą się wypadki!... Często dzień, godzina stanowi o życiu... Bo rośnie się dla życia lata, a umiera się w jedną sekundę... Zawsze będzie czas na to!...

Wtym umilkł, gdyż spostrzegł, że Zaremba go nie słucha, że wzrok jego błądzi gdzieś daleko w tajemniczych, niezgruntowanych, mocarnych głębinach.

Zakopane, 15 maja 1908 r.